NADWIŚLAŃSKI ZAMEK VOGELSANG.

OBRAZEK Z DAWNYCH WIEKÓW.

Na zachodniém pograniczu ziemi Dobrzyńskiéj, poczynając od modréj Wisły brzegu, odwieczna puszcza szumiała pełnym tajemnicy szmerem. Rzadko kiedy promień słoneczny zawitał w te ciemno zielone obszary, rzadko deszczu kropelka przeniknęła sklepienia liści i gałęzi, aby zrosić zabłąkaną wśród mchów i wrzosów, wonną, białą konwalję. Pomiędzy gęstwiną buków, dębów, modrzewii innych drzew rozłożystych, przemieszkiwał swobodnie zwierz dziki. Tu niedźwiedź bartnik na sosnę się wdzierał, aby wykraść pracowite pszczół robotnic zbiory, tam jelenie, tury, żubry i łosie torowały sobie dumnie przejście wśród łomu i zawałów, owdzie znów pomykały nieśmiało pierzchliwe sarny, trwożne zające i chytre lisy; rysie zaczepione ostremi szpony u grabowych gałęzi, świeciły w nocy bursztynowym płomieniem swych oczu, a kuny o ciemném szacowném futrze, wyzierały ciekawie z otworów pni spruchniałych. Daléj w głąb lasu ciągnęły się przepaściste parowy osłonione głogiem i leszczyną, niedostępne trzęsawiska i moczary z których za najmniejszym szelestem wzlatywały w niebo chmary wodnego ptastwa, wreście bystra rzeka siedlisko wydr i bobrów wiła się krętém korytem.— Sądząc z pozoru na pewno wyrzec by można, że szlaki te niedostępne były ludzkim stopom a jednakże przeciwnie, nieraz już one rozlegały się ich odgłosem. Puszcza nadwiślańska zmierzając ku północy, łączyła się z puszczami ziemi Zawskrzyńskiéj, z lasami Bryńskich i Lubawskich posiadłości, przez nią więc pruscy poganie torowali sobie drogę w swych wycieczkach na Mazowsze. Wiedzieli oni do-



Długo spoglądał na oblicza dziecięce oddychające błogim spokojem. .

brze jak potrzeba przedzierać się przéz gęstwiny, gdzie wyszukiwać bezpiecznego w bród przejścia na rzece, oraz jak ominąć zgubne bagna i wąwozy. Daremnie rokrocznie książe Konrad toczył z niemi krwawe boje, daremnie wpierw jeszcze opiekun małoletniego wojewoda Krystyn, zwany od pogaństwa *bożkiem polskim* [1]), tępił na karkach jego ostrze swéj szablicy, tłumy najeźdzców, niby zastępy szarańczy niszczycielki, zalewały bezustannie nieszczęsną ziemię, widownię ciągłych rozbojów i pożogi. Mieszkańcy jéj chcąc uniknąć śmierci lub niewoli, dzień i noc stróżować musieli swych zagród domowych. Jeżeli tylko łuna pożaru zawiadomiła o zbliżeniu nieprzyjaciela, jaki taki zabierał żonę dzieci i dobytek aby szukać wraz z niemi schronienia w zamkach zbudowanych wśród niedostępnych ostrowów, a gdy często tamże zabrakło miejsca, ukrywał się w znajomych sobie jarach i kniejach puszczy. Mimo tych wszystkich ostrożności zawsze poganie potrafili zachwycić łup bogaty i uprowadzić znaczną liczbę brańców. W roku 1210, Krystyn biskup płocki, użaliwszy się nie doli wiernego ludu swéj dyecezji, wyjednał u Papieża Honorjusza III. zatwierdzenie krzyżowéj wyprawy na Prusy. Z rozkazu głowy rzymskiego kościoła, arcybiskupi Moguncki, Trewirski, Koloński i Gnieźnieński ogłosili wydaną bullę. Rychło potém książęta polscy: Leszek biały i Konrad mazowiecki, Henryk brodaty na Szląsku oraz Światopełk i Warcisław wojewodowie pomorscy, pomnożyli zastępy orężne biskupa Krystyna który miał główne przywództwo nad całą wyprawą. Przez lat cztery bojowali z pogany chrześcijańscy rycerze, nie odnosząc ni zwycięztwa ni klęsk stanowczych, aż wreście znużeni bezużyteczną walką, rozproszyli się stanowiąc ku obronie Mazowsza zakon wojowniczy. Zakon ten znany w dziejach naszych pod nazwą *braci Dobrzyńskich* lub *milites Christi de Prussia* uroczyście założonym został zanim jeszcze krzyżownicy powrócili w swe domowe progi. Obecni na wyprawie książęta pasowali nowych rycerzy, biskupi zaś przyjmowali od nich przyrzeczenie ślubów zakonnych, wraz z obietnicą nieszczędzenia życia w obronie kościoła, wdów, sierot i uciśnionych. Książę Konrad uposażył ich potem hojnie, nadaniem zamku Dobrzyń wraz z przyległemi włośćmi. Zaraz w początkach swych osiedlin, zajęli się żwawo Dobrzyńcy wypędzeniem z pogranicza dziczy pogańskiéj, późniéj zaś obmurowawszy na nowo swój zamek, posuwać się poczęli w głąb pruskiéj krainy. Rozdraźnieni do żywego tą śmiałością poganie, postanowili zemścić się srodze. Napadli najpierw Oliwski klasztor w Pomorzu i wymordowali bezbronnych mnichów, wkrótce zaś potém, korzystając z chwili nieobecności księcia Konrada, puścili się na Mazowsze. Rycerze dobrzyńscy stawili im mężny opór, szląc rychło gońce do księcia o pomoc niebawnie potrzebną. Pokwapił się książe z przybyciem na czele zbrojnego zastępu i oba nieprzyjacielskie obozy starły się pod Brodnicą. Przez dwa dni wrzała krwawa bitwa, bronili się mężnie Dobrzyńcy, wojownicy Konrada nieustraszone również stawiali czoło przeciw oszczepom włóczniom i strzałom, wszyscy jednakże w końcu uledz musieli przeważnéj liczbie dzikiéj tłuszczy. Wielki postrach i strapienie wielkie padło na mieszkańców uciśnionéj ziemi. Resztki pobitych hufców schroniły się w zamku dobrzyńskim, a nieprzyjaciel tymczasem zabierał do koła brańce i łupy. Biegała wieść głucha pomiędzy ludem, że jeden z wodzów Konrada, rycerz znamienity przybyły jeszcze wczasie krzyżowéj wyprawy, przyczynił się przeważnie do ogólnéj klęski, uchodząc przed czasem z pola bitwy... Zachmurzył się bardzo temi podsłuchy mazowiecki książe i w prędkości porywczéj, chciał natychmiast wydalić go z grona swych wiernych, biskup Krystyn jednakże uczynił uwagę, że wpierw jeszcze na radzie która się zebrać miała w zamku, wartoby posłuchać azali obwiniony nie przytoczy co na swoją obronę a książę tak jak zwykł był czynić i tą razą przychylił się do jego porady. Podczas gdy na zamku

[1]) Krystyn herbu Gozdawa wojewoda mazowiecki, zyskał ten przydomek od podziwiających waleczność jego Prusaków, od swoich zaś zwany był *wielkim wojewodą*. Będąc opiekunem Konrada Mazowieckiego księcia, w czasie małoletności tegoż trzymał na wodzy pogaństwo. Bolesław Chrobry, Bolesław Krzywousty i Henryk książe Sandomierski, walczyli przedtem z Prusami, ostatni wraz z kwiatem swego rycerstwa, zginął zapędzony w bagna (w roku 1167).

dobrzyńskim po raz pierwszy od chwili nieszczęsnéj porażki, zgromadzić się miano na walną radę przy blasku gwiazd wieczornych, nad samym zachodem słońca dwóch zbrojnych jeźdzców, wyruszyło zwolna po zwodzonym moście, kierując się w stronę puszczy, odległéj ztamtąd o jakie staj kilkanaście. Z początku nie przyspieszali kroku, gdy jednakże wieże zamku znikły po za krętą drożyną, pędem wiatru posunęli daléj nie zatrzymując się aż u brzegu leśnéj gęstwiny, kędy wyniosłe wzgórze otoczone wartkim prądem Chełmicy, wybiegło po nad Wisłę. Jeźdzcy wynalazłszy bezpieczne przejście po mieliźnie, zsiedli z koni na przeciwnym brzegu rzeki. Wtedy starszy z nich dobrze już posiwiały w boju i na łowach, uwiązał oba wierzchowce u młodego dębczaka i położył się na murawie, widocznie aby przy nich straż trzymać, młodszy zaś, mąż wysokiéj postawy, ogorzałéj twarzy o pięknych i dumnych rysach, które cień posępnéj zgryzoty przyoblekał, wdarł się szybko na wzgórze. Obchodząc je do koła rozsuwał gałęzie krzewów i drzewiny splatające się w żywe płoty, aż wreście odkrył po za niemi otwór skalistego wydrążenia, zasunięty spadkiem dzikich bluszczów i głogów. Pomknąwszy śmiało w rozpadlinę, znalazł się wkrótce w obszernéj pieczarze, w pośród któréj zawieszony u sklepienia kaganiec, rzucał jasne światło do koła.

Zaledwie odgłos kroków przybyłego rozległ się po twardéj opoce, smukła i biała postać niewieścia, okryta cienką lnianą szatą, biegła ku niemu zerwawszy się z mchowego siedzenia. Oko męża zatlało uczuciem niewypowiedzianéj miłości, wyciągnął ramiona i przytulił do piersi jasną głowę która na niéj spoczęła bezpiecznie.

— Czas pewno bardzo ci był długim w téj pieczarze, miła Bogno, pytał siadając po chwili.

— Jakże by mogło być inaczéj, odparła z uśmiechem niewiasta — Zdało mi się że słońce wolniéj bieży ilekroć wyjrzałam na świat, azali nie zniża się ku Wiśle.....

— Cierpliwości do jutra tylko, a opuścimy razem tę ponurą siedzibę..... — ale gdzież Janusz i Sędziwoj?

Bogna przyłożyła do ust palce nakazując ciszę i wskazała na przeciwległą ścianę przy któréj dwoje pacholąt spało snem głębokim. Szara sukienna opończa rozesłana na suchych liściach, służyła im za puchowe łoże. Mąż powstał szybko i zcicha stąpając posunął się w tę stronę. Długo spoglądał na oblicza dziecięce oddychające błogim spokojem.

— Bóg z wami rzekł w końcu wzruszony — szkarłat przynależny krwi szlachetnéj nie pokrywa kolebki waszéj, lecz z czasem musi być inaczéj— Jutro, moja miła, dodał zwracając mowę do żony oddam cię wraz z niemi pod opiekę księżnéj Agaty [1]) pani to wielkiego umysłu i serca tkliwego na niedolę bliźnich — dała łaskawe ucho memu opowiadaniu, przyrzekła dochować tajemnicy i być wam matką dopóki nie zdołam przebłagać rodzica.....

Lekki cień smutku przyoblekł oblicze Bogny — Czy tylko przebłagać da się? rzekła głosem drżącym i żałosnym.— Im więcéj rozpoznawać zaczynam obyczaje wasze, tém wielmożniéj niepewność i trwoga rozsiada się w mém sercu. — Nie troszczcie się o spokój dla mnie, skoro sami nie macie go w duszy. — Od czasu jak szlachetny ksiądz Bogomir połączył nasze dłonie, wyuczyłam się poznawać myśli wasze — widzę wszystko co ukryć pragniecie — Od dni kilku osobliwie, od chwili porażki pod Brodnicą, opanowała was gorzkość jakaś nieznana mi przed tém—gdybyście przynajmniéj chcieli wypowiedzieć troskę, dorzuciła nieśmiało, ale gdzie tam! wam ludziom orężnym zdaje się że niewiasta, to jak wątła brzoza co ją lada nawalnica pochyli do ziemi.... Są wprawdzie i takie, ale są także inne.... wy wiecie o tém Janie mój....

— Wiem że jesteś wierną i mężną — wszak odwaga twoja chwyciła mię za serce zanim jeszcze rozpatrzyłem się w tém cudném licu — ale wierzaj miła — że łatwiéj ścigać spłoszonego jelenia i dosięgnąć go wartkolotną strzałą, łatwiéj spotkać się z wrogiem na polu bitwy, aniżeli przenieść zgryzotę która napawa często usta nasze gdy je umoczyć musimy w roztruchanie żywota! — Tu lice Jana przybrało wyraz tak ponuréj rozpaczy że mimowolnie Bogna krzyknęła przerażona.

[1]) Agata księżniczka ruska była żoną księcia Konrada.

— Co wam, powiedzcie na Chrystusowe imię — myślicie że znieść niepotrafię złéj doli, a toć niepewność największą pono gorzkością.....

—Nie o to idzie, odparł mąż poświęgając się w rozżaleniu — lecz nie teraz pora... — przyjdzie czas na wszystko — dziś chciałbym jeszcze, jak to dawniéj bywało, zapomnieć przy tobie o trosce... Niech więcéj nie będzie o niéj mowy, dodał głosem w którym obok prośby przebijała stanowcza wola, jakiéj Bogna nigdy sprzeciwiać się nieśmiała.—

Westchnęła tylko smutnie i skrzyżowawszy ręce na piersiach, spojrzała w stronę gdzie uśpione dzieci uśmiechały się błogo nie odgadując troski rodziców.—

— Czy Klichna i Ofka powiozły już do Płocka szaty i sprzęty twoje jak to przykazałem uczynić? zapytał po chwili Jan widocznie chcąc zmienić rozmowę.

— Nie wiem—wszak nie widziałam wiernych niewiast moich od czasu jak okryci krwią i kurzawą, wprost z pola bitwy przybiegliście do naszego ostrowia, aby wraz z dziećmi uprowadzić mię do téj pieczary.—

— Ach prawda zapomniałem o tém — lecz nie pytałem jeszcze czy nie brak wam czego tutaj? —

— O nie, mamy dość mchu i liści na posłanie, jest oléj do kagańca, chleba i mięsiwa aż nadto przyniósł Dobrogost, wodę zaczerpuję sama z krynicy pod górą gdy księżyc wejdzie na niebo, bo w dzień nie wychodzę jak przykazaliście, nudno tylko i tęschno bardzo saméj — a z dziećmi jak od początku tak i teraz wielka bieda, bo skoro się obudzą zaraz pragną biedz do sadu — tęschnią za niebem i słońcem, wątłe też i blade teraz jak kwiatki leśne które go niewidzą. Janusz zrozumiał gdym mu rzekła że ojciec ukrył nas przed nieprzyjacielem, który mógł opanować chadźbę i uprowadzić w niewolę, lecz co z Sędziwojem to niełatwa sprawa, wiek jego nie potemu jeszcze aby pojmował te rzeczy.

—Biedne dzieci! — o jakże rad będę gdy ukończy się ich niewola. Któżby powiedział kiedyś że wnętrze tego wzgórza ukryje moje najdroższe skarby? — Czy pamiętasz Bogno jak niegdyś gaj brzozowy rozrosły nad Chełmicą pochylał się do stóp naszych, gdy tam na szczycie siedzieliśmy dłoń w dłoni spoglądając na modre Wisły fale i dumając to o przyszłości, to o czasach ubiegłych bezpowrotnie, a słowiki przemieszkujące pod sklepieniem drzew zielonych, równie liczne jak gwiazdy na niebie, śpiewały nam pieśń radosną? —

— A jakżeby zapomnieć pomyślnéj godziny? O gdyby wiedzieć przynajmniéj że znów powróci kiedy!... pamiętam wszystko tak jak gdyby wczoraj było — Codziennie z okien modrzewiowego dworca, który mi wyznaczyliście na mieszkanie wśród ostrowa oblanego Wisłą, wyglądałam tęschna azali biała chusta nie powieje na tém wzgórzu, a skoro dopatrzyłam upragnionego znaku, rychło biegłam do nadbrzeżnego sadu i tam wsiadłszy w łódkę uwiązaną u drzewa, poruszałam chyżo wiosłem aby co prędzéj stanąć u kresu gdzie mię oczekiwaliście! — Jakże radosne bywało powitanie nasze! jak długie niewyczerpane rozmowy! — Czy pamiętacie jak obiegaliśmy nieraz razem wzgórze, wszak pono w jednéj z tych wycieczek, wynaleźliśmy pieczarę w któréj się dzisiaj chronimy? Nie chcieliście nigdy przejść ze mną na tamtę stronę Chełmicy, mówiąc że ludzie dopatrzeć by mogli naszych schadzek. Po każdém spotkaniu, chyżo wyprawialiście mię z powrotem, abym zbyt późno nie żeglowała po Wiśle – a niewiasty moje jakże uradowane były gdy przybijałam do brzegu! one zawsze lękały się jakiéjś złéj przygody, biedne! —

Jan przysłuchiwał się zlubością szczebiotaniu rozweselonéj wspomnieniem przeszłości kobiety, znać było że pragnął zapomnieć obecnéj chwili przy słodkim dźwięku jéj mowy.

— A przecież i ja odwiedzałem was czasami....

— O wtedy tylko gdy dla choroby wydalić się nie mogłam. A jakież to smutne bywały odwiedziny! zawsze strach nas ogarniał aby któren z dworzan księcia Konrada nie wyśledził i nie doniósł następnie do Krakowa, że rycerz który po ukończeniu krzyżowéj wyprawy nie chciał powrócić do zamku rodzica, niby dla dalszego wojowania z pogany, zatrzymał się jedynie w obcéj stronie dla miłości niewiasty.....

Na te ostatnie słowa wyrzeczone cichym i pełnym tkliwości głosem, Jan znów zasępił czoło, niedostrzegła jednak tego Bogna zatopiona cała w lubych sobie wspomnieniach. Nastała chwila milczenia, poczém mąż zerwał się nagle i przypominając spóźnioną porę, podbiegł wyjrzeć na świat czy słońce już zapadło. Księżyc otoczony gwiazd miljonem wychylił się powoli z po za chmur osłony, cisza nocna zaległa do



Pan mój najpierwéj popadł w niewolę, wołał ażebym uchodził co prędzéj.

koła zielone gaje, Chełmica wartkim biegiem spieszyła na łono matki Wisły, szemrząc jakieś tajemnicze wyrazy. Rycerz dosłyszał w nich pewno przestrogę aby się nie zabawiał dłużéj u kolan niewieścich, bo wbiegł szybko na powrót do pieczary i spiesznie żegnał żonę....

— Do jutra więc szeptała ze łzą w oku Bogna, niech was Chrystus prowadzi a powracajcie mi bez téj gorzkiéj troski....

Jan nic nie odrzekł, milcząc również uściskał śpiące dzieci i zapuścił się w ciemne zarośla. Doszedłszy do miejsca gdzie stały uwiązane konie pod strażą wiernego sługi, raz jeszcze spojrzał na wzgórze oblane srebrnym księżyca blaskiem, a potem pędem strzały puścił się w stronę Dobrzynia. O kilka staj od zamku ciągnął się ciemny bór sosnowy zarosły gęstemi krzewy, jeźdzcy musieli zwolnić kroku wstępując w jego obszary.

— Czy nie lepiéj byłoby czestny panie, ozwał się giermek posiwiały, abyście skierowali waszego bieguna dalszemi przez pole szlaki? noc już zapadła, a nie późniéj jak wczoraj, widziano zastępy pogan w téj stronie.

— I w polu oni knować umieją, a co bliżéj tędy to bliżéj na pewno — i tak przybywam zbyt późno, rada już rozpoczętą być musi. Pamiętaj tylko Dobrogoście, jakkolwiek los mój rozstrzygniętym zostanie, że Bogna wraz z dziećmi powinna być jutro w płockim zamku, jeżeli trafem jakim sam nie mógłbym uczynić tego, ty odprowadzić ją musisz do księżnéj Agaty.

— Wszak wiecie że niezawiodłem Was nigdy, odparł Dobrogost przyciskając rękę do piersi, myślę jednak że szlachetna pani nie będzie potrzebować méj pomocy, że wy sami towarzyszyć jéj będziecie....

— Kto wie może wypadnie abym zaraz powracał do Krakowa i nie dał się wyprzedzić nikomu..... grabia Ostazjusz ma jechać tam za lada chwilę... i Bóg wie co rozpowiadać będzie przyjaciołom i krewnym..... Gdy rycerz wymawiał te ostatnie słowa, w głosie jego przebijało silne wzruszenie, Dobrogost zaś westchnął głęboko jak gdyby ciężar wielki uciskał mu piersi. Jeżeli będziesz sam przeprowadzał Bognę to pamiętaj aby wszyscy ludzie nasi dobrze byli uzbrojeni, jéj zaś powiedz że musiałem naprzód pośpieszyć... Zawsze bowiem nie mógłbym choć na krótko opuścić téj ziemi, nie widząc jéj w bezpieczném miejscu własnemi oczyma.

— Spełnię jak za zwyczaj wszystkie żądania wasze. Ale patrzcie, zdaje mi się że coś tam migoce po za krzakiem niby szare opończe.

—To łania przemknęła trwożliwie, zkądże ci dziś znów te obawy mój wierny?

— Bo dziś znów dzień dla nas nieszczęśliwy, pierwszy po nowiu księżyca, a pamiętam zawsze przepowiednie tego tatara u waszéj kolebki.

— Wstydź się wierzyć słudze czarta, alboż on niewierny przepowiedział bitwę pod Brodnicą? przepowiedziałże największą gorzkość w jaką popaść mogłem? tu rycerz załamał ręce i patrzał w gwiazdy niby zbolesnym wyrzutem że go nie uchroniły od złéj przygody.

— Nie zawsze duch nieczysty odgadnąć może losu naszego koleje, czasami jednakże sprawdzają się jego słowa, mówił Dobrogost i tak zapomnieliście już widzę że wszystko złe jakie nas spotkało od lat czterech przypadło zawsze...... tu znów przerwał mowę, bo zdało mu się słyszeć wyraźnie łamanie gałęzi w oddali, jak gdyby ktoś torował sobie drogę pomiędzy gęstwiną.

Nie omylił snać tą razą słuch starego sługi, bo Jan zastanowił się również chwilę aby spojrzeć w tę i w ową stronę. Łoskot zwiększał się coraz bardziéj aż nareście tuż przed końmi obu jeźdźców, kilkunastu brodatych na w pół dzikich ludzi wytoczyło się z boru, przywódzcą ich zdawał się być olbrzymiéj postawy barczysty młodzian, uzbrojony ciężkim oszczepem.

— Czy widzicie szlachetny panie tego rosłego chłopa, szepnął Dobrogost, to ten sam co zwarł się z wami na polu bitwy, wymawiając tajemnicze słowa które....

— Milcz stary, przerwał rycerz ponuro, odpłacę mu teraz za wszystko....

— Na Boga nie czas potemu, zwróćmy lepiéj konie, wszak wiecie że was czekają.

— Ach! to prawda, rzekł Jan, uderzając się w czoło.

— Umknijmy im tylko co żywo w tę stronę, szepnął jeszcze Dobrogost wskazując krętą boczną drożynę, wszak mamy konie pod sobą, a oni pieszo.....

Ludzie którzy zastąpili drogę naszym podróżnym stali w milczeniu podczas gdy ci rozmawiali z sobą z cicha, nie uczynili również ani jednego kroku aby ich powstrzymać gdy zwrócili konie, lecz zaledwie Dobrogost posunął się wskazaną przez siebie ścieżką, a Jan pośpieszył jego śladem, nowy zastęp wypadł naprzeciw nich z groźnym okrzykiem, widocznie otoczeni byli do koła przez nieprzyjaciół.

— Dobrogoście, rzekł rycerz, pamiętaj o poleceniach moich jeżeli razem nie wydobędziemy się z téj matni, pamiętaj o Bognie i dzieciach....

— Raczéj mnie aniżeli wam położyć tu głowę, czestny panie, odrzekł z zapałem stary sługa.

— Lecz pamiętaj mój wierny że oni mnie szczególniéj upatrywać będą, dla miłości mojéj wymknij się jeżeli podołasz, pamiętaj że byłbym w rozpaczy gdybyśmy się oba dostali w niewolę... bo cóż wtedy poczęłaby Bogna moja biedna.... Jan chciał jeszcze coś powiedzieć ale nie było już czasu po temu, bo poganie otoczyli ich coraz więcéj ściśnioném kołem. Zestrachane konie poczęły się rzucać w tę i w ową stronę, jeźdzcy dobyli toporów z zapasa nie mając już i chwili do stracenia.

Na zamku dobrzyńskim tymczasem, wpośród obszernéj komnaty, któréj ściany wykładane były świetną blachą nabijaną w misterne wzory, zgromadziła się walna rada.

Na wyniesioném krześle obitém jelenią skórą, zasiadł książę Konrad chmurny i zasępiony; obok niego po jednéj stronie Krystyn biskup płocki; po drugiéj zaś grabia Ostazjusz Odrowąż poselnik księcia Leszka, daléj kanonicy Płoccy w złotych łańcuchach zawieszonych na fioletowéj szacie, bracia Dobrzyńcy na których białych płaszczach odznaczał się miecz krwawy i purpurowa również gwiazda, a wreście panowie i rycerze w świetnych zbrojach. Kagańce i żółte woskowe świece, rzucały blask jakiś ponury na całe zgromadzenie, które rozmawiało cichym szeptem, oczekując aż książę da znak rozpoczęcia obrad.

— Czy już wszyscy zgromadzeni jesteście wierni nam mili, ozwał się wreście Konrad przerywając pokątne rozmowy.

— Braknie tylko rycerza Gryfa, odparł Arnoldus kasztelan kujawski.

— I czemuż nie stawił się na nasze wezwanie, rzekł książę ściągając brwi groźnie.

— Stawi się pewno tutaj za lada chwilę, przerwał skwapliwie rycerz Krynisław ze Słupcy, snać chcąc uniewinnić nieobecnego, przed zachodem słońca wyjechał jeszcze w odwiedziny do poblizkiéj chadźby przyjaciół, a powrócić miał z ukazaniem się pierwszéj wieczornéj gwiazdy.

— Nie w porę odwiedziny, rzekł grabia Ostazjusz, gdy rzecz chodzi o przywrócenie czci lub utratę jéj na wieki.

— Nie możemy wiedzieć często powodu skłaniającego do kroków które nam się zdają na pozór nierozważne, niepowinni śmy ich przeto sądzić przedwcześnie, rzekł poważnie Bogomir kanonik płocki.

Książe rozmawiał pod ten czas cicho z biskupem Krystynem. — Szlachetni panowie rzekł w końcu głośno, wprowadzajcie sprawę obwinionego jak gdyby był obecnym pomiędzy nami; niech ci którzy byli najbliżéj rycerze Gryfa na polu bitwy, mówią wszystko co świadczy przeciw niemu, drudzy zaś wedle słów ich osądzą azali wart jeszcze poczciwéj sławy, na którą zarobił przedtém niejednokrotnie.

Na to wezwanie rycerze Bogusław Bogunidos, Jan z Chełmicy, Bartosz z Makowy i stary cześnik Ziros, podnieśli się i mówili z kolei. Zgadzali się wszyscy w końcu na jedno że rycerz Jan Gryf w początkach potyczki walczył mężnie, ku końcowi jednakże gnany jakąś niepojętą trwogą w tak dzielnym wojowniku, odstąpił swych ludzi i pogonił w stronę samotnego ostrowia ku Wiśle gdzie już nieraz przedtém widziano jak podążał ukradkiem. Arnoldus kasztelan kujawski, zabrał głos wtedy dowodząc, że rycerz Gryf winnym jest zdrady, skoro ze wszystkiego co świadczą przeciw niemu zdaje się że wpłynął stanowczo swą ucieczką na przegranę bitwy. Oparł się temu wnioskowi z oburzeniem ksiądz Bogomir.

— Jak to, zawołał, śmiecie potępiać stanowczo nieobecnego który bronić się nie może!

— Zapominacie mój wielebny, zerwał się porywczo książe Konrad, że ja sam upoważniłem zgromadzonych tu rycerzy do wydania sądu?

— Pamiętam o tém miłościwy książę, lecz wiem także że jakkolwiek sprawiedliwość wasza może być surowa, w głębi duszy nie pomyślicie nigdy, aby szlachetny potomek Jaxów z Serbji, który dobrowolnie pozostał na strażnicy ziemi naszéj, podczas gdy drudzy spieszyli spocząć pod strzechą domową, aby rycerz który tyle dawał dowodów męztwa w zapasach z pogany, mógł być winnym zdrady!

— Jakże więc czyn jego nazwać inaczéj, przerwał szyderczo grabia Ostazjusz, który dotąd w ponurém milczeniu przysłuchiwał się całéj sprawie.

— Sam pewno potrafi go najlepiéj wyjaśnić, za nim to nastąpi, nie wolno ludziom chrześcjańskim potępiać brata.

— Pozwólcie miłościwy książe na godzinę przynajmniéj odroczyć rzecz całą, rzekł wtedy poważnie biskup Krystyn; jeżeli rycerz Gryf nie ukaże się przedtém to już snać Bóg sam uzna go winnym.

— Zgadzam się na przełożenie wasze, oddajemy go sądom Bożym, czynimy to tém chętniéj, że radzi będziemy jeżeli zdoła się uniewinnić przynajmniéj z ostatniego zarzutu, bo co do ucieczki ta już niepodlega wątpliwości gdy świadczy o niéj tylu zacnych rycerzy. Niech podkanclerzy nasz Jerzy ze Słupcy, pilną daje baczność na ziarnka piasku przesuwające się w klepsydrze, a tymczasem radzić będziemy o losach téj ziemi, dla któréj okazało się, że ani piersi

nasze ani też zakon Dobrzyńców niedostatecznym jeszcze murem.

Rycerze dobrzyńscy pochylili smutnie głowy na ostatnie słowa księcia. Kilku z nich zaledwie uniosło życie z placu bitwy, aby patrzeć na poniżenie swego zakonu.

Zaczęły się tedy narady w jaki sposób obwarować znowu Mazowsze, roztwarte teraz na oścież dla najezdników. Biskup Krystyn po długiéj przemowie, w któréj wystawiał przeważne działanie zakonów rycerskich na pogan, dowodził że bracia dobrzyńscy dla szczupłéj jedynie liczby nie odpowiedzieli należycie położonym w nich nadziejom; wniósł aby sprowadzić drugi zakon, któryby wraz z niemi wojował i nawracał pogany.

Krzyżowcy z ziemi świętéj, po utracie przez wojska chrześcijańskie Damietty, przenieśli się byli do Europy. Niezbyt dawno przed wypadkami zaszłemi na Mazowszu, Andrzéj król węgierski oddał im krainę Burzen, położoną na pograniczu ziemi siedmiogrodzkiéj, celem zasłonienia Węgier od napadów barbarzyńców. Krzyżowcy dzielną przynieśli mu pomoc, a nadto objąwszy kraj pusty i zniszczony, w krótkim czasie uczynili go zamożnym i kwitnącym. Wprawdzie król Andrzéj uprzykrzywszy sobie ich panowanie, dowodził że rozszerzyli je z ujmą jego władzy, a w końcu gdy niestało skarg i narzekania, niewdzięczny wygnał swych wybawców, lecz to była zwykła koléj rzeczy na świecie, dobre złém odpłacone, a nie mniéj przeto, krzyżowi rycerze krwią swoją i trudem zabezpieczyli Węgry.

Owóż tedy przełożywszy to wszystko, biskup Krystyn wyraźnie dał poznać, że dla zbawienia Mazowsza, potrzeba sprowadzić krzyżaków. Nie opierał się bynajmniéj temu książę Konrad, wyrzekł nawet że zdawna już miał ten zamiar, teraz zaś zamyślił stanowczo doprowadzić go do skutku. Widać było że rzecz cała dawniéj już ułożoną została pomiędzy biskupem a księciem, obecnie zaś wspominano o niéj dla tego tylko, aby zadość uczynić przyjętym obyczajom zasięgania rady panów nad postanowieniem księcia. Obecnie żaden z nich nie stawił oporu, zważywszy na smutne położenie kraju, rozprawiali jedynie nad tém w jaki sposób należało przeprowadzić w prędkim czasie, układy z wielkim mistrzem zakonu, Hermanem von Saltz. Wśród tych obrad godzina stanowić mająca o losie rycerza Gryfa dawno już upłynęła, nikt jednak na to niezważał, wyjąwszy może przyjaciół obwinionego, którzy zapewne radzi byli temu zapomnieniu; do tych ostatnich należał podkanclerzy, miał też już gotową odpowiedź dla księcia, w razie gdyby go zagadł czemu nie przestrzegł o biegu czasu. Grabia Ostazjusz wkrótce ją wywołał, snać mieszkańca ziemi krakowskiéj, mniéj jak drugich zajmowały sprawy Mazowsza, lub też być może że niecierpliwiéj oczekiwał końca wyroku, mając rano skoro świt wyruszyć z powrotem na dwór Leszka.

— Panie podkanclerzy, rzekł powoli, dawno już ubiedz musiała godzina oczekiwania, którą w swéj łaskawości książę podarował obwinionemu.

— Tak jest szlachetny panie, lecz nie wolno mi było przerywać ważnych obrad; rycerz Gryf zaś nic nie zyskał skoro go dotąd niema...

Zaledwie Jerzy ze Słupcy wymówił te słowa, wbiegł zadyszany pachołek, oznajmując, że w téj chwili powrócił do zamku Dobrogost, wierny giermek rycerza Gryfa i błaga księcia o posłuchanie.

— Niech wnijdzie, rzekł Konrad, zobaczymy co nam powié.

Wszyscy obecni widocznie zaciekawieni niespodziewaną wieścią, cichym szeptem udzielali sobie wzajemnych spostrzeżeń. Dobrogost ukazał się rychło, blade i skrwawione oblicze wiernego sługi, zarazem z uszkodzoną zbroją, wskazywało że dopiero co w ciężkiéj znajdował się potrzebie.

—Miłościwy książę i szlachetni panowie, rzekł skłaniając się do ziemi, ratujcie pana mego, który obecnie w wielkim pozostaje ucisku!

—Gdzież więc został, czemu go tu niema? zapytał groźno książę.

— Więzy pogańskie skrępowały mu ręce i nogi, inaczéj z dawna już byłby się stawił w waszych progach.

— Jak to? czy tylko słowa twoje nie obrażają kłamstwem bezczelném uszu naszych, rzekł znów ściągając brwi książę.

— Krew ta niech świadczy o prawdzie, odparł spokojnie starzec, odgarniając włosy, które mu zakrywały ranę na skroni.

— Gdzież i kiedy spotkaliście się z pogany? pytał biskup Krystyn.

— Powracając do zamku przez bór sosnowy; obskoczyli nas w przeważnéj liczbie, czas jakiś trzymaliśmy ich na wodzy wywijając toporem w tę i ową stronę, w końcu jednakże sił niestało gdy ciężkie oszczepy, raz na raz waliły się na spłoszone konie. Pan mój najpierwéj popadł w niewolę, wołał ażebym uchodził co prędzéj i zawiadomił was o tém co zaszło, widząc jednakże jak barbarzyńcy rzucili się nań z więzami nie mogłem przenieść aby nie wpaść na nich. Skoczyłem z konia i kilku powaliłem o ziemię uderzeniem toporu, reszta z tém większą wściekłością poczęła nacierać i byłbym niechybnie życiem przypłacił chwilowe zwycięztwo, gdyby nie traf niespodziewany. Tu starzec wstrzymał się chwilę ocierając pot z czoła i oddychając z ciężkością.

— Jakiż to traf? pytali z widoczném zajęciem obecni.

— Tuż obok miejsca naszéj utarczki, był parów przepaścisty, zarosły dzikiemi krzewy, cofając się przed natarczywością pogan, stanąłem u brzegu nie wiedząc o tém, raptem zabrakło ziemi pod memi stopy. Śmiech szyderski barbarzyńców towarzyszył mi w tém upadku, sądzili oni zapewne że duch mój uleci, za nim dna dosięgnie ciało, poszarpane na sterczących do koła kamieniach.... ale Bóg zrządził inaczéj, kamienie oderwane od brzegu potoczyły się na dno z łoskotem, ja zaś pozostałem uwikłany wśród gąszczu cierni i głogów.

— Jakże wydostałeś się potém — pytano znów ciekawie.

— Czas jakiś nie śmiałem się poruszyć gdy jednakże po gwarze który cichnąć poczynał, a w końcu ustał całkiem, dorozumiewać począłem że poganie odeszli daleko, wydrapałem się zwolna czepiając gałęzi, aż do wierzchu parowu, natrafiłem potém na wydeptaną ścieżkę i powróciłem do zamkn aby wam oznajmić co zaszło, a zarazem błagać was czestni panowie o pomoc dla nieszczęśliwego rycerza który popadł w niewolę.

Przygoda rycerza Gryffa, aczkolwiek bardzo zwyczaj na w owych miejscach i czasach, opowiedziana przez naocznego świadka w cudowny prawie ocalonego sposób, poruszyła słuchaczów i odwróciła ich myśli od wyroku, który miał przed tém zapaść; nie było już więcéj mowy tylko o sposobach przyniesienia więźniowi jakiejkolwiek pomocy.

Uradzono w końcu że grabia Ostazjusz uwiadomi o wszystkiém co zaszło wojewodę Marka Gryfa, a tenże niebawnie nadeśle okup za syna, którego uwolnieniem zajmie się spiesznie wtedy ksiądz Bogomir.

Szarawo już dzień świtał na niebie gdy zgromadzeni zakonnicy i rycerze rozeszli się do naznaczonych sobie komnat. Wierny Dobrogost nie spoczął i chwili, zmienił tylko odzież podartą, opatrzył rany i na czele zbrojnego oddziału, wyruszył ku wzgórzu nad Wisłą..... Nad wieczorem Bogna była już wraz z dziećmi pod opieką Mazowieckiéj księżnéj. Zacna pani opowiedziała strapionéj niewieście przygodę męża, o któréj nie śmiał jéj nadmienić Dobrogost, lękając się pierwszego wybuchu rozpaczy. Z zadziwiającém męztwem zwłaszcza w tak młodéj białogłowie, zniosła małżonka Jana Gryfa grom nieszczęścia który uderzył w jéj serce.

Jedna myśl tylko opanowała odtąd wszystkie władze jéj ducha.

Czy to tuląc do łona maleńkich synów, czy siedząc u kolan księżnéj Agaty, którą wkrótce pokochała jak matkę, marzyła o sposobach wyzwolenia Jana.

Nieraz późno w noc wiodła w tym przedmiocie długie rozmowy, z nawiedzającym ją niekiedy księdzem Bogomirem. Zbiegała też często do łoża Dobrogosta, który nazajutrz po przybyciu do Płocka, zaniemógł z ran, utrudzenia i żałości; radzili wtedy oboje co najpierw począć wypada... starzec jednakże, którego pomoc niezbędną była młodéj pani, powoli bardzo powracał do zdrowia, a tymczasem dzień za dniem mijał i nie było żadnéj wieści od uwięzionego.

Za panowania Leszka Białego, Kraków rozrzucony niekształtnie u stóp wawelskiéj góry, niemiał jeszcze ani prostych ulic, ani rynku który później Bolesław Wstydliwy wytknąć kazał piérwszemu wójtowi, jakiego ustanowił za nadaniem miastu niemieckiego prawa. Piętrzaste murowane budowy o cięż-

kich oknach i śpiczastych wieżyczkach, stojąc tu i owdzie obok drewnianych lepianek, zamieszkiwane były przez zamożniejszych mieszczan lub panów osiadłych w stolicy. Przed jednym z podobnych domów, położonym wprost niedawno wzniesionego wtedy kościoła Ś. Trójcy (Dominikanów), zatrzymał się nad wieczorem orszak ludzi orężnych widocznie znużonych daleką wyprawą. Rycerz który im przewodniczył, zsiadł zwolna z konia i oddając go w ręce giermka, wydał rozkaz reszcie zbrojnych, aby poszła w rozsypkę do domu. Sam zaś kroczył w podwoje, które na jego przyjęcie rozwarto.

— Ksiądz kanclerz jest w domu? zapytał w progu skłaniającego się nizko pachołka.

— Niéma go czestny panie, odparł tenże, pewno jednak rychło powróci od króla, bo słońce było właśnie w pół dnia skoro wyszedł, a teraz jeno patrzéć jak schyli się ku zachodowi.

Nie w smak widać była przyjezdnemu nieobecność gospodarza, bo zmarszczył brwi chmurnie. — Może wasza Miłość zaczekać zechce? wtrącił nieśmiało pachołek.

— Nie sporo mi czekać, boć sam z dalekiéj wędrówki, niepowitałem jeszcze méj niewiasty ani dziatek, ale cóż począć skoro niemoże być inaczéj.

Pachołek otworzył w milczeniu drzwi wielkiéj izby, w któréj przybyły zasiadł niebawnie na dębowéj ławie. W izbie téj biskup Iwon Odrowąż nagromadził wszystko co przynależało, aby wydawała wspaniałość biskupiego i kanclerskiego urzędu. Podłoga tam była układana z ciosowego kamienia, sklepienie niby kościół jaki malowane w obrazy z Pisma Ś. Stoły pokrywało sukno szkarłatne, a na nich stały srebrne roztruchany rzeźbione w misterne wzory. Arcydzieła ówczesnéj malarskiéj sztuki, które biskup przywiózł z Włoch przyozdabiały ściany. Przedstawiały one szczegóły śmierci świętobliwego Stanisława ze Szczepanowa, według obrazów istniejących na ścianie kościoła Ś. Piotra w Rzymie. Iwon Odrowąż zabawiając tamże długi czas z synowcami Jackiem i Czesławem, tak się zasłużył naczelnikowi kościoła, że mianowany został arcybiskupem gnieźnieńskim, nie chciwy jednakże dostojeństwa, pozostać wolał w Krakowie przy boku króla, którego w potrzebie wspierał mądrą radą. Zeskarbił też sobie wkrótce Leszka, swą roztropnością i cnotą. Wypowiadając śmiało prawdę, objeżdżał z królem ziemie i księstwa, aby przestrzegać pilnie wszędzie sprawiedliwości. Wraz z bło: Wincentym Kadłubkiem odwoził do Halicza młodziuchną królewnę Salomeję. Pobożne rozmowy obu świętych mężów, przyczyniły się zapewne niemało do ugruntowania cnót anielskich, przyszłéj orędowniczki ziemi polskiéj. Leszek Biały, winien był niewątpliwie wszystkie dobre natchnienia w sprawach narodu, kanclerzowi swemu i doradzcy, to też nie kwapił się z żadném przedsięwzięciem, dopóki niewysłuchał uważnie jego zdania w téj mierze.

Niedługo przybyły rycerz mierzył komnatę niecierpliwemi kroki, biskup powrócił rychło z zamku i powitał go serdecznie, jak na krewnego przystało. Grabia Ostazjusz Odrowąż (gdyż to on był) powitał nawzajem Iwona i rozpoczął niebawnie rozpowiadać swe przygody na dworze księcia Konrada, gdzie był posłem jak nam to już wiadomo. Biskup słuchał uważnie jego mowy, a gdy przyszło z kolei rzeczy do opowieści bitwy pod Brodnicą i zdrady Jana Gryfa, załamał ręce z boleścią.

—Być że to może, wyrzekł, być że to może, aby rycerz prawy, który dotąd nieskazitelnie służył Bogu i ojczyźnie, dopuścić się mógł podobnego czynu? O! powiedzcie mi że to tylko domysły ludzkie, że nie ma jeszcze żadnéj pewności!

— Azaliż sądzicie że zabawię was wymyślonemi gadki? Mógłżebym plamić dobrą sławę bliźniego, gdybym niemiał na to pewnika? Wszystko co zaszło potwierdza ciężką winę człeka, który dotąd zdał się być miłym Bogu i ludziom, a że to rzecz nielada wydać bracią na rzeź niewiernym, pierwsze moje kroki w Krakowie były ku temu aby się naradzić z wami co tu począć, iżby hańba podobna należycie ukaraną została, a wojewoda Marek co to chełpi się z rycerskich czynów syna, że aż drugim przymawia, że jeno kądziel im prząść a domu pilnować, powściągnion był w swéj pysze...

Biskup Iwon lekko nachmurzył czoło na te ostatnie wyrazy.

— Panie bracie, rzekł surowo, zważcie azali nie unosi was dawna niechęć do Gryfów? jakkolwiek wojewoda mógł wam dać do niéj potuchę, pamiętajcie zawsze że ród to zacny i zasłużony ojczyźnie. Wszakże to Jaxa z Miechowa [1]) nie mało chwały Bożéj przymnożył, a byłyć tam i inne cne męże i rycerze bitne...

— Uchowaj Boże, przerwał żywo grabia Ostazjusz, uchowaj Boże, abym jak człek pogański chować miał w sercu nienawiść przeciw bratu. To co rzekłem dopiero jest prawdą świętą. Wszystek mój lud orężny gotów stwierdzić przysięgą, że widział na własne oczy jak rycerz Gryf uchodził z pola, opuszczając swoich w ciężkiéj potrzebie...

— Rzecz dziwna jak się to stać mogło, ale mówcie daléj, zobaczymy przynajmniéj, co podawał na swe uniewinnienie...

— Otóż właśnie w tém złe największe że niestawił się na radzie zebranéj przez księcia Konrada aby roztrząsać rzecz całą... Dobrogost stary jego sługa, przybył wprawdzie blady i poraniony, z wieścią że pan jego powracając do zamku, uwięzion został przez pogany, że on sam zaledwie cudownie im umknąć zdołał... ale lubo wszyscy z początku dali wiarę téj opowieści, późniéj jednakże dziwném się wydało to uwięzienie właśnie w chwili gdy sąd miał być uczynion nad obwinionym. Skoro bowiem tenże świadom był godziny zebrania, pocóż mu było porzucać bezpieczne w zamku schronienie i pod ten czas błąkać się po lesie?

— Jest w tém wielka prawda, odparł smutnie biskup, wartoby jednakże wiedzieć jeszcze jak sobie przed tém poczynał Gryf w Mazowieckiéj ziemi?

— I tu nieznajdziecie dlań wymówki, i owszem, prędsze jeszcze potępienie jeżeli czas przeszły z obecnym zestawić zechcecie, z początku bowiem pobytu swego na dworze księcia Konrada, zajęty był jedynie wojaczką, późniéj zaś zauważano jak coraz rzadziéj zabawiały go wycieczki na pogany aż wreście przyszło do tego, że nieraz wymawiał się od nich pod jakim błahym pozorem.

— I cóż poczynał wtedy gdy drudzy wyruszali w pole? pytał znów biskup.

[1]) W r. 1147 Jaxa z rodu Gryfów, założył w Miechowie klasztór Bożogrobców, na wzór zakonu stróżów grobu Chrystusowego w Jerozolimie. Mury tego klasztoru po dziś dzień istnieją.

— Jeździł w knieje puszczy, lecz nikt świadom nie jest co tam porabiał. Mówił wprawdzie że zabawiał się łowami na kuny i lisy, lecz niewidziano nigdy aby niósł które z tych zwierząt przeszyte strzałą... Od potrzeby Brodnickiéj poczęto szemrać głucho, że miewał tam pewno schadzki z pogany, że nawet w przed dzień bitwy widziano jednego z ich wodzów skradającego się około samotnego ostrowia, gdzie rycerz Gryf niekiedy rad przebywał i gdzie skierował swe kroki w chwili haniebnéj ucieczki....

— Wielki Boże! rzekł biskup załamując ręce i cóż na to książę Konrad?

— Książe polecił mi przedstawić rzecz całą księciu Leszkowi, aby tenże wydał sąd surowy na podwładnego mu rycerza.

— Niéma co mówić przeciw temu, ciągnął smutnie biskup, krzywda poległych woła o pomstę przed Bogiem i ludźmi. Jutro najdaléj pójdziecie ze mną na zamek królewski, aby dać świadectwo przeciw obwinionemu.

Grabia Ostazjusz uśmiechnął się nieznacznie, jakkolwiek bowiem wszystko co wyznał było szczerą prawdą, uczuł jednak skrytą radość, że zawzięty przeciwnik jego domu, wojewoda Marek ojciec Jana poniżon będzie w obec całego narodu. Tając jednakże to wewnętrzne zadowolenie przed pobożnym biskupem, ozwał się poważnie. — Wierzajcie mi że dopełnię tylko przykréj powinności, tém przykrzejszéj że ludzie z początku może sądzić będą, jakoby kierowała memi kroki nieprzyjaźń, boć wiadomo każdemu jak niegdyś Marek Gryf ścigał mię zawzięcie i jeno przemożna opieka naszego sprawiedliwego Kazimiérza, ocaliła mię od zaguby czci i mienia.....

Biskup zachmurzył się znowu. — Nie wspominajcie o tém w obecnéj chwili, to najlepszym będzie dowodem przed ludźmi, że zabaczyliście waszéj krzywdy. Co do mnie dodał, wiem, że jakkolwiek sprawiedliwą być może wasza uraza, nie zdolni bylibyście spełnić nikczemnego czynu, jakim jest złe i fałszywe obwinienie niewinnego człowieka. A teraz grabio Ostazjuszu idźcie w pokoju do domu waszego, ja zaś w samotności i modlitwie, gotować się będę na wprowadzenie jutrzejszéj sprawy. *D. n.*

WSPOMNIENIA RODZINNE.

(Dalszy ciąg.)

IX.

Odcień charakteru Marji-Józefy. — August II. i naród polski. Schlebianie szlachcie — Król pragnie znów Marją-Józefę odwiedzić. — Królewicowa nie przyjmuje powtórnie jego wizyty. — Śmierć królewica Aleksandra, jego charakter i niefortunny na losy Polski i rodziny wpływ. — Jeszcze Marja-Kazimiera. — Monsignor Hieronim Grimaldi. — Nuncjusz prorok. — Zmiana w losie Marji-Józefy. — List królewica Konstantego do nuncjusza. — Śmierć starosty Ostrowskiego. — Dwaj jego młodsi bracia. — Wyjazd królewicowéj do Lwowa. — Spotkanie się z królewicem. — Ich razmowa. — Wszystko się wyjaśnia. — Przyjazd do Żółkwi. — Charakter królewica. — Jego zajęcia i żale za przeszłością. — Trudne Marji-Józefy położenie. - Zamek. — Pamiątki. — Kościół. — Założenie domu zdrowia. — Siostra Placyda. — Ksiądz Belawita kapelan. — Dwór i życie w Żółkwi. — Pani Krakowska i jéj córka wojewodzina płocka. — Książe August Czartoryski. — Zofja Leszczyńska. — Zniweczone nadzieje. — Podejrzenia Augusta. — Feldmarszałek Fleming.

Marja-Józefa, na wzór wszystkich oświeceńszych w owym czasie polek, żywy brała udział w wypadkach krajowych, jak to widzieliśmy w końcu poprzedniego rozdziału. Jest to charakterystyczna cecha naszego narodu, że od niepamiętnych czasów, każda niemal w łonie jego jednostka, nie wyłączając nawet płci słabszéj, zajmowała się sprawami publicznemi. Nie sięgając w głębiny czasów dawniejszych, początek ubiegłego stulecia podaje nam nazwiska niewiast, które, jak księżna z Morsztynów Czartoryska [1]) hetmanowa z Lubomirskich Sieniawska, poetka Drużbacka i wiele innych gorliwie i nader zaszczytnie dla kraju zajmowały się jego losami i sprawami, a nawet niekiedy, już to przez mężów swych, już też przez przyjaciół, czynny w nich udział brały. Wszakże wpływu tego nie używały na sposób francuzek, niemek i angielek, widzących jedynie siebie w sprawach ogółu i znaczne z nich dla swych osobistych widoków umiejących ciągnąć korzyści. Owa Dianna de Poitiers, Gabrjella d'Estrèes, hrabina de Salisbury, de Kenigsmark, Anna Buleyn, Pompadour, Dubarry, były proste i najniższego rzędu intrygantki; dla nich ojczyzna była w sznurku pereł urjańskich, stroju z brylantów lub szmaragdów, a chwała w niegodném oczarowaniu monarchy i samowolném dzierżeniu jego władzy. Ogół zaś kobiet wśród tych narodów, nie wychodził po za obręb zwyczajnego życia, stosunków z sąsiadami i codziennych ploteczek. Inne było stanowisko kobiet polskich.....

Marja-Józefa, z natury skłonna do wszystkich najszlachetniejszych uczuć, przypatrując się przez wiele lat prawdziwie polskim cnotom bratowéj swojéj, starościny Ostrowskiéj, karmiła w swéj duszy miłość ojczyzny i szczéry, niezmyślony w jego losach brała udział. W cichości klasztornego życia, oddawała się nauce dziejów polskich i obcych, w nich czerpała znajomość i doświadczenie życia narodów, bezpośredni wpływ ich praw i instytucji na porządek, zgodę na wewnątrz, siłę, trwałość i niepodległość w stosunkach z obcemi. Tém światłem oświecona, widziała jak na dłoni grożące Rzeczypospolitéj niebezpieczeństwo, dzieliła z bratem przekonanie, że najspieszniejsze środki ratunku, jak np. skasowanie *liberum veto*, prawa elekcji, konfederacji, utrzymanie silnego regularnego wojska, opatrzenie granic odpowiednią ilością fortec, stałe oparcie ich na silnych dwóch mórz ramionach, rozszerzenie władzy wykonawczéj, przywrócona powaga koronie, a przedewszystkiém tron dziedziczny w osobie króla wojownika, tęgiego duszą, hartem i energją, zgoła zupełna reforma instytucji państwa, mogła je wstrzymać nad brzegiem przepaści, ku któréj szybkim biegło pędem. Bolała także Marja-Józefa nad upadkiem domu Sobieskich, nie z osobistych widoków i pobudek własnéj ambicji, ale dla dobra kraju i przez pamięć króla Jana III., która jéj zawsze jako Polce drogą była

[1]) Matka książąt: kanclerza i wojewody ruskiego. (Przyp. aut.)

Cierpiała głównie, że żaden z synów bohatéra nie odziedziczył wielkich jego przymiotów i charakterem oraz zdolnościami, nie był na wysokości przeznaczeń, do których Opatrzność zdawała się wszystkich powoływać. Dla tego, mimo, że nosiła świetne Sobieskich nazwisko, w gruncie duszy dzieliła zdanie brata, że August, mimo swéj niepoprawionéj przewrotności, naturalnemi przymiotami które posiadał, jak wojskowe talenta, energię czynu, hart duszy, polityczny i dyplomatyczny obrót, a nadewszystko do wysokiego stopnia rozwiniętą osobistą dynastyczną ambicję mógłby wyratować Rzeczpospolitę z grożącego jéj niebezpieczeństwa. Czuła ona, że należało go wspierać w jego planach dziedzicznego tronu, że raz z téj strony zaspokojony, byłby może, działając na swą wyłączną korzyść, pracował na dobro, sławę i potęgę państwa. Wszakże jako małżonka jednego z Sobieskich, z obowiązku i przez uczucie przyzwoitości, nie mogła się głośno ze zdaniem swojém odzywać, nawet w obec starosty Ostrowskiego, i jedynie w gorącéj modlitwie, losy ojczyzny Bogu polecała.



Górnik z XVII. wieku [1]).

August uspokojony nieco z zewnętrznemi wojnami i domowemi zamieszkami, pozbywszy się, drogim wprawdzie kosztem, obecności swych dawnych sprzymierzeńców, osiadł na dłuższe mieszkanie w Warszawie, a chociaż przez zazdrosną swych swobód szlachtę chwilowo pokonany, nie zaniedbywał swych dawnych w organizacji państwa planów. Jak to już powiedzieliśmy, widząc że nie pokona szlachty siłą, jął się łatwego sposobu schlebiania jéj słabostkom, przez co mnożył sobie coraz większą liczbę stronników.

[1]) Górnik ten w kompletnym charakterystycznym ubiorze, zdaje się być *sztygarem*, to jest nadzorcą, nie zaś prostym robotnikiem. Ci ostatni bowiem w Wieliczce nie używali przy robocie skóry, czyli owego fartucha z tyłu przypiętego, którego do dziś dnia używają u nas w kopalniach węgla kamiennego w Dąbrowie, jako zabezpieczenie od usmolenia. W lewéj ręce trzyma on *kaganiec*, w prawéj *kilof*, narzędzie do wyrąbywania używane, tak dobrze w Wieliczce jak w Dąbrowie. Rodzaj białéj osłony, która mu spada z tyłu z pod kapelusza nazywa się w języku górniczym *czepkiem*, a *kitlą*, owa bluza na guziki spięta, która dopełnia ubrania.

(Przyp. redak.)

Mimo licznych politycznych i wojskowych zajęć, nie było prawie znakomitszéj w kraju rodziny, któréjby nie znał stosunków, nawyknień, zamiłowań, charakteru i dążności i tę znajomość, zawsze na swą umiał obracać korzyść. Znał dokładnie wszystkie szczegóły życia Marji, jéj opuszczenie przez męża i zamknięcie w klasztorze. Uważał upadek Sobieskich za wynik swych zręcznych zabiegów, radował się w duszy, że los mu nastręczał w czynach i życiu jednego z członków upadłéj rodziny, porę okazania w obec narodu i Europy ich wartości osobistéj i moralnéj. Opiekowanie się losem opuszczonéj małżonki królewicza Konstantego, jéj obrona i orędownictwo, było rolą, która bardzo przypadła do smaku rycerskim zachceniom i wyuzdanéj ambicji Augusta. Wezwał zatem starostę Ostrowskiego do zamku, ozdobił orderem orła białego, według świeżo wydanych statutów, oświadczył swe współubolewanie nad losem królewicowéj i chęć przyjścia jéj w pomoc. Niemniéj ponowił dawną propozycję, odwiedzenia jéj w klasztorze, dodając z wytworną rycerską uprzejmością, że pragnie wiedzieć dzień i godzinę, w któréj będzie go mogła przyjąć.

Trzeba przyznać, że każdy polak, mimo wielkich zkądinąd przymiotów, ma w swém sercu niepoślednią dozę próżności i dworactwa. Starosta Ostrowski uradowany jedwabnemi słowy króla, strojny w błękitną wstęgę i złocistą gwiazdę, pośpieszył do siostry przedstawić jéj się w nowym charakterze, kawalera orderu białego orła.

Marja-Józefa ze smutkiem wpatrywała się w te insygnja, niedawno jeszcze nie naród polski, ale pewne w jego łonie stronnictwo odznaczające.

— Cóż to? powiedziała z przekąsem, tak łatwo wam było przywdziać barwę człowieka, który niegdyś wrogiem kraju był głoszony?... Nie poznaję was bracie.

— Dajcież pokój rozdwojeniu; czyż nie dosyć tych swarów i kłótni stronnictw? Tak jest, przybrałem barwę Augusta; nie o niego mi idzie, ale o jedność i spokój Rzeczypospolitéj. Podajmy ręce królowi, otoczmy go naszém zaufaniem, a on dla własnego i dynastji interesu, szczerze i bez ogródek, pojmie własne swe, jako króla polskiego stanowisko. Przekonał się August że sumienność i uczciwość, są nawet na tronie najzręczniejszą dyplomacją, ale tę dobroczynną w jego usposobieniu zmianę, powinniśmy wywołać szczerém naszém z nim pojednaniem.

Daléj starosta opowiedział całą swą z królem o niéj rozmowę i zapytał siostry, czyby go tą razą nie przyjęła?

Marja-Józefa zastanowiwszy się nieco nad opowieścią starosty, powiedziała:

Mój bracie, oświadczcie w mojém imieniu Jego Królewskiéj Mości, moją wdzięczność za jego dobroć i niezasłużoną łaskę dla mnie i współczucie dla biednego mojego losu; ale powiedzcie mu także że małżonce jednego z synów nieboszczyka króla, nie przystało przyjmować tego, który przywłaszczył sobie jego koronę. Jako Polka, raduję się, że nad polską rzeczpospolitą panuje monarcha mądry w radzie i waleczny w boju, ale synowéj wielkiego Jana III, odwiedzin Augusta przyjąć nie wypada, dopóki żyją prawi następcy.

Starosta mocno z odmowy siostry nieukontentowany, prosił, aby ją na piśmie w ręce jego złożyła; żądaniu temu królewicowa zadosyć uczyniła. Lubo nieśmiało, pismo to starosta przedłożył królowi, który się niém wcale nie obraził, gdyż pojął, że inacéj Marja-Józefa uczynić nie mogła; co więcéj, oświadczył, że tém większy dla Jéj Królewicowskiéj Mości powziął szacunek i że wszelkiego użyje wpływu u stolicy apostolskiéj, aby jéj sprawa w Rzymie pomyślny dla niéj wzięła obrót. Dotrzymał téż słowa i nie zaniedbał przez swych posłów wytrwale ją popierać; jakoż zobaczymy wkrótce, że wdanie się czynne króla, nie pozostało bez skutku dla losu Marji-Józefy. Dowiedziawszy się August, o podróży królewicowéj do Olawy i niekoniecznie pomyślnych dla finansowych jéj stosunków téj podróży następstwach, polecił podskarbiemu koronnemu Przependowskiemu, aby część z dochodów górnictwa, będącą dawniéj dożywociem królowéj Marji-Kazimiery, przelał po jéj śmierci na jéj synowę [1]).

[1]) Marja-Kazimiera przy schyłku dni swoich nie przestawala się zajmować górnictwem w Polsce, stanowiącém pewną część jéj wdowich elementów. Na rok przed śmiercią, przysłała z Francji

Królewicowa przyjmowała względy króla z pewną wrodzoną sobie godnością; czuła, że serce jéj, równie jak miłość własna, boleśnie dotknięte zostały. Głęboka wiara, kierująca wszystkiemi jéj krokami, nie dawała przystępu rozpaczy do jéj duszy. Raz tylko jeden, w pierwszéj chwili strasznego bólu, bezprzytomnie prawie, bluźniercze wymówiła słowa; długo je téż odpokutowywała w modlitwach i umartwieniach. Po téj pierwszéj próbie, nowe i częste z przeciwnościami i własnemi uczuciami walki, a więcej jeszcze głębokie przeświadczenie, że wszystko co nas spotyka, jest zrządzeniem kierującéj losami ludzkiemi Opatrzności, nadały jéj duszy silny, niepokonany hart, stawiający czoło wszelkim w jéj dalszém życiu przeciwnościom.

W czasie pobytu swego w klasztorze, królewicowa odebrała wiadomość, że królewic Aleksander, zamieszkały, jak to wyżéj powiedzieliśmy u kapucynów w Rzymie, dokonał życia. Śmierć jego była tak cicha, jak powinno było być jego życie. Powołany od Boga do spełnienia wielkich przeznaczeń dla rodu i krajn swojego, missji téj w żadnym względzie zadosyć nie uczynił. Cudzoziemiec wśród polaków, nie znał swojego narodu i jego instytucji, które acz nie dostateczne i wadliwe, w najszlachetniejszych pobudkach brały swe źródło. Pomiatał Polską, jéj mową, ubiorem i obyczajami, bo nie znał ich zacności; dumny z natury, pragnął korony nie dla siebie, ale dla swéj krwi, rodu, gdyż lenistwo, miłość wygód i pieniędzy, samą w nim tłumiły pychę. Kochał niby brata, pragnął jego wywyższenia, a haniebnie go zdradził raz gdy go odstąpił napadniętego pod Wrocławiem od sasów, sam się ucieczką ratując, następnie, gdy koronę jego miasto włożyć chwilowo na własną skroń, obcemu oddał substytutowi. Umarł w cichości... ani jedna łza nie popłynęła na otwartym jego grobie, ani jedno słowo żalu i współczucia nie odbiło się o smutne ściany ostatniego zamieszkania, jak gdyby był opuszczonym od wszystkich sierotą lub znienawidzonym ludzkości wrogiem. Królewic Aleksander nie był ani pierwszym, ani drugim, był leniwcem i egoistą, tu rozwiązanie zagadki jego życia i śmierci. Królowa wdowa która o dwa lata ulubieńca przeżyła z suchém okiem i dziwną obojętnością, wiadomość o jego zgonie przyjęła. Własne doświadczenie i dalsze wypadki, aż nadto dostatecznie, wskazały jéj wady wychowania syna, które sobie jedynie przypisać mogła, ale zwyczajem kobiet tego rodzaju, nie tylko głucha była na sprawiedliwe własnego sumienia wyrzuty, ale całe złe na karb ofiary swojego zaślepienia zrzuciła. Od wstąpienia królewica do klasztoru ucichła dla niego miłość i bicie macierzyńskiego serca, a zastąpiły je etykieta i formy których Marja-Kazimiera najsurowiéj przestrzegała. Gdy przyszła do zamku Blois, gdzie przebywała, wiadomość o śmierci *brata Jana Bożego*, królowa według praw etykietalnego smutku, położyła się w łóżko i z tego kapryśnych i bezczynnych kobiet tronu wydała rozkazy o mającéj się przywdziać na jéj dworze żałobie, o nabożeństwie w zamkowéj kaplicy, o zawiadomieniu o téj stracie obcych dworów i t. p. w takim razie używanych formach i zwyczajach.

Ale wróćmy do dalszego opowiadania naszego o Marji Wesslównie. Już rok dziesiąty jéj dobrowolnego zamknięcia dobiegał, gdy pewnego ciepłego czerwcowego poranku, Nuncjusz Apostolski, poprzedzony krzyżem i w całéj paradzie licznéj asystencji paziów, hajduków i laufrów w sześcio-konnéj karecie zajechał przed furtę klasztorną, żądając u przerażonéj tą uroczystością furtjanki, posłuchania u Najjaśniejszéj Królewicowéj Konstantynowéj. Monsignor od niejakiego czasu, z powodu pogorszającego się stanu zdrowia, rzadkim bywał w klasztorze panien Sakramentek gościem, a w razie odwiedzin, skromnie, kolasą parą końmi ciągniony, z sekretarzem swoim i jednym tylko hajdukiem przed klasztor zajeżdżał. Niespodziane i niezwykłym sposobem zjawienie się nuncjusza, otaczająca go okazałość, nacisk jaki kładł na tytuł królewicowéj, niesłychany dotąd w jego ustach, gdy się

do żup wielickich i bocheńskich zdatnych górników, alpejskich górali, których postacie wymodelować na drzewie kazała i synowi księciu Konstantemu do Żółkwi przysłała. Modele te, przechowane w rodzinie Wesslów, przez czas zczerniałe, ale doskonale wyrzeźbione, znajdują się dotąd u jednego żyjącego rodziny téj potomka, Michała Wessla; podaj się tu jeden w drzeworycie. (Przyp. aut.)

o Marji-Józefie wyrażał, zwiastowały nader pomyślną i przeważną w jéj losie zmianę. Furtjanka pobiegła uwiadomić *matkę wielebną* [1]) o znakomitéj rzymskiego prałata wizycie. Rozwarły się z uszanowaniem wielkie drzwi klasztoru i przełożona na czele zgromadzenia przyjęła z krzyżem i wodą święconą dostojnika kościoła, który udzielał błogosławieństwo papiezkie, a następnie kazał się zaprowadzić do komnat górnego piętra, gdzie zamieszkiwała królewicowa. Tu, po pierwszém przywitaniu, nuncjusz dał znak matce wielebnéj aby go samego z królewicową zostawiła i usiadł na stojącém przy kanapie krześle. Marja-Józefa tak była wzruszoną tém niespodzianém przybyciem, że nie była w stanie przemówić słowa. Nuncjusz przerwał dość długie milczenie i powstawszy z krzesła, przybywam rzecze poważnie, powitać w osobie Waszéj Królewicowskiéj Mości, dostojną synowę pomazańca Pańskiego, prawą Najjaśniejszego królewica Konstantego małżonkę. Z pokorą przyjmuję, rzekła klęcząc Marja-Józefa, wyrok stolicy apostolskiéj uznającéj mnie żoną chrześcijańską, jak z całém poddaniem czekałam przez lat wiele chwili, w któréj mnie w prawach moich potwierdzić zechce. Dajmy pokój wspomnieniom, a ciesz się raczéj Wasza Królewicowska Mość z tryumfu twéj sprawy, któréj słuszność uznaną została przez świętą kongregację. Mam tu list królewica do mnie pisany, w którym mnie wzywa, abym wymógł u Waszéj Królewicowskiéj Mości jéj przybycie do Żółkwi. Wiadomo wam że książę, dla politycznych względów, nie może odwiedzić Warszawy; obowiązkiem przeto waszym jest jako żony chrześcijańskiéj odpowiedzieć wezwaniu dostojnego małżonka waszego, przez jaknajśpieszniejsze się z nim połączenie, w miejscu gdzie dziś przebywa, a nawet nakazuję wam wyjazd w imieniu Ojca Świętego. Kończąc te wyrazy nuncjusz dobył z po za sukni ekspedycję w dwóch językach polskim i łacińskim, ręką królewica kreśloną i dwoma pieczęciami opatrzoną i przeczytał ją na głos. Była w następującéj osnowie:

Konstanty Królewic Polski i Wielkiego Xięstwa Litewskiego, na Żółkwi, Jaworowie, Złoczewie i t. d. Pan i Dziedzic.

Do

Jego Eminencji Monsignora Hieronima Grimaldi, hrabiego Argenta, Nuncjusza Jego Świętobliwości w krajach Rzeczypospolitéj.

„Odebraliśmy w téj chwili za pośrednictwem nuncjatury w Wiedniu, wyrok stolicy apostolskiéj, w sprawie naszéj z Marją-Józefą hrabiną de Wessel, którą nie tylko jako pobożny i posłuszny syn kościoła akceptujemy, ale całą słuszność zawartych w nim konkluzji uznajemy i oddalony skrupuł *Super Validitate Matrimonii*, z naszéj strony za nie były, w skutkach jego bez żadnéj excepcji przyjmujemy. To uczyniwszy nie zostaje nam jak oddać hołd niewinności, rzadkim duszy i serca przymiotom, téjże najmilszéj i najukochańszéj małżonce naszéj, Najjaśniéjszéj Królewicowéj Marji-Józefy i błagać ją przez pośrednictwo Waszéj Eminencji aby bacząc na trudne nasze z Jego Królewską Mością, Królem Polskim relacje, trzymania nas w pewnym od jego osoby i stolicy dystansie, raczyła przybyć do Żółkwi, dzielić jak na prawą i cnotliwą małżonkę przystoi, nasze niefortunne losy. Staraniem naszém będzie wynagrodzić jéj miłością i wiernością w dalszém pożyciu naszém, przeciwności i ciężkie koleje które *lubo nie z naszéj winy* na nią spadłe, z taką

[1]) Według oddawna przyjętego zwyczaju klasztor pp. sakramentek jakkolwiek nosił tytuł *królewskiego monasteru*, miał tylko i ma prostą przełożoną zwaną *matką wielebną*, gdyż tytuł *Ksieni* przyznawano Matce Zbawiciela. Dotąd zachowuje się tu obyczaj że w czasie obiadu i wieczerzy, gdy matki i siostry zgromadzone w refektarzu zasiadają koło wspólnego stołu, miejsce dla ksieni przeznaczone, pozostaje próżne. Zakonnica obnosząca potrawy uklęknąwszy poprzednio, pierwszy najlepszy kęs, stawia w tém miejscu jako *porcję Najświętszej Panny* którą klasztor ofiaruje najuboższemu z ubogich gromadzących się w dzień u furty, jako ukochanemu dziecięciu Matki Boga maluczkich i biednych. Przy téj sposobności powiemy że pobożny obrzęd nazwany przez Wiktora Hugo w piątym tomie Nędzników *wielkim aż do szczytności*, (grand jusq'au sublime) istnieje tu w całéj swéj pierwotnéj nadsekwańskiéj ścisłości. Zasadza on się na tak zwanéj *pokucie* t. j. klęczeniu i leżeniu krzyżem kolejno przez wszystkie siostry zgromadzenia perjodycznie przez pewne godziny, na zadosyć uczynienie i o błaganie Boga za grzeszników. (Przyp. aut.)

rezygnacją i korném poddaniem niezbadanym Wyrokom Opatrzności, znosiła.

Kończymy to powyższe pismo nasze, prosząc Boga Mości Księżę Nuncjuszu, aby was miał w swéj świętéj i niezmiennéj opiece.

Waszéj Eminencji przychylny
sługa
Konstanty królewic.

Dan w zamku naszym w Żółkwi
d. 10 Junio anno 1720.

List ten głębokie na sercu i umyśle Marji-Józefy uczynił wrażenie. W wyrazach kończących ostatni jego ustęp, *nie z naszéj winy*, widziała chęć usprawiedliwienia się z pewnych ciążących na nim grzechów, co ją naprowadziło na myśl, że jéj małżonek nie jest może tyle występnym przeciw niéj, ile z pozorów sądzić mogła. Mimowolnie obraz Marji-Kazimiery, jéj charakter przewrotny, mściwy i zazdrosny, a nadewszystko brzydkie intrygi w posyłce pokojowca, *Labrie* podejście, żywo jéj się w sercu i pamięci przedstawiły. Przebiegła w myśli całą przeszłość, wszystkie okoliczności, na pozór błache, ale żywe na postępowanie królowéj w całéj téj sprawie rzucające światło i z góry widziała królewica, jeżeli nie zgoła usprawiedliwionego, to przynajmniéj znacznie z wielu zarzutów oczyszczonego. W miarę jak się przeszłość w jéj oczach rozwidniała, odzywała się w jéj sercu dawna miłość która uniewinnić pragnęła niewdzięcznika! Marja głęboko się zamyśliła!... długie znów nastało milczenie, po chwili nuncjusz zapytuje Marji-Józefy co czynić zamyśla?... Będę posłuszną woli Ojca Ś^{go} i wezwaniu królewica odpowiedziała, potrzeba mi tylko dni kilku czasu, do zrobienia koniecznych przygotowań do podróży i napisania listu, do brata mego starosty Ostrowskiego, aby go o wszystkiém uwiadomić. Uradowany nuncjusz powolnością królewicowéj, pożegnał ją, przyrzekł odwiedzić przed wyjazdem i powrócił do pałacu nuncjatury.[1]) Po jego odjeździe, królewicowa siadła do napisania listu do starosty Ostrowskiego, nie wiedząc jeszcze że Opatrzność nową i straszną znów dla niéj gotowała próbę. Ledwie kilka słów do brata nakréślić zdołała, gdy złowrogie jakieś pukanie do drzwi słyszeć się dało. Królewicowa wstała, odsunęła rygiel; wchodzi matka Domicella przełożona, blada, strwożona, z zapłakanemi oczami do komnaty. Dosyć było Marji rzucić na nią okiem aby odgadnąć że jest zwiastunem strasznéj wiadomości. Nie omyliła się w swém przypuszczeniu; brat jéj, jedyny opiekun i najszczérszy przyjaciel, starosta Ostrowski, nie doczekał ukończenia sprawy siostry, nad którą tyle bolał i w wigilją zwiastowania jéj przez nuncjusza szczęśliwéj nowiny, u siebie na wsi w zamku makowskim, (do którego się przeniósł po spaleniu Nasielska przez Szwedów), nagle apopleksją tknięty, żyć przestał. Któż sobie wyobrazi żal Marji-Józefy?.. Są chwile boleści, zdolne zatruć i zniweczyć szczęście całego żywota. – Biédna, uczuła się znów po raz drugi sierotą, a zmiana losu, odzyskanie serca tak gorąco ukochanego męża, nie zdołały w jéj sercu zatrzeć tego bolesnego wrażenia. Ten wypadek spóźnił o jakie dwa tygodnie wyjazd królewicowéj do Żółkwi; posłuchajmy tu własnego jéj opowiadania: „Pragnęłam, mówi Marja-Józefa, pragnęłam przed wyjazdem, odbyć nabożeństwo żałobne za duszę najlepszego mojego brata, doznałam téż w téj smutnéj sposobności wiele szacownych dowodów współczucia, nie tylko od przyjaciół i znajomych, ale od ludzi których wcale nie znałam. Całe towarzystwo warszawskie, w wielkiéj liczbie zgromadzone w stolicy, z powodu bytności króla, wpisało swe nazwiska u furty w przygotowanéj księdze. Kościół miejscowy nie mógł objąć w murach swoich, wielkiéj liczby osób, chcących uczestniczyć nabożeństwu. Dobra przełożona, podjęła się ułatwić wszelkie potrzebne ku temu smutnemu obrzędowi szczegóły, a nuncjusz po-

[1]) Tu musimy, w przypisku, dać słów kilka o tym prałacie, którego pamięć dzieje podają nam, jako wielce Rzeczypospolitéj miłego i sympatycznego. W czasie gdy nie tylko obce narody, ale wielu braci naszych, mało ducha i rzeczy polskich świadomych, wyłącznie charakterowi narodu i wyrabiającym się z niego instytucjom nieszczęścia jego przypisują, nie od rzeczy może będzie przytoczyć tu sąd o dawnéj Rzeczypospolitéj cudzoziemca, naocznego świadka dalekiego od ducha partji, a zatém bezstronnego, który Marja-Józefa podaje nam przez usta bratanki swojéj Klementyny: „Monsignor Hieronim Gri-

mimo swoich cierpień nieuleczonéj choroby, zjechał sam do klasztoru dla odbycia celebry w czasie mszy wielkiéj. Król przysłał ulubieńca swego, feldmarszałka Fleminga, który w jego imieniu był obecny, królową zaś Krystynę zastąpiła pani Ogińska, wojewodzina Trocka, jéj dama pałacowa. Po złożonym hołdzie pamięci najlepszego brata, mojém najżywszém pragnieniem było odwiedzić jego wdowę, umyśliłam więc drogę do Żółkwi na Maków obrócić, choć mi znacznie było z drogi. Doznałam też nie małéj pociechy, przez obecność w Warszawie dwóch moich młodszych braci, którzy powróciwszy z zagranicy, doznali szczególnych dowodów łaski królewskiéj. Starszy Adalbert, zajął miejsce w senacie, jako kasztelan warszawski, młodszy Franciszek jednocześnie wakującą kasztelanję zakroczymską udarowany został. Tak to August łagodząc i obsypując dobrodziejstwy stronników współzawodników swoich, torował sobie drogę do dziedzicznego tronu, o którym zamyślać i marzyć nigdy nie przestał. Dla mnie August nie mniéj się względnym i łaskawym okazywał. Uwiadomiony o wyjeździe moim do Żółkwi, przysłał do mnie pierwszego swojego podkomorzego, księcia miecznika Lubomirskiego, z oświadczeniem swojéj radości z tak szczęśliwego wypadku i chęci ułatwienia mi projektowanéj podróży. Jakoż w dzień odjazdu zajechały przed furtę dwie paradne dworskie kolasy, z dwoma paziami królewskiemi na koźle i z tyłu i eskortą oddziału drabantów gwardji królewskiéj, która miała rozkaz konwojowania mnie na miejsce, już jako straż honorowa, już też dla bezpieczeństwa mojéj osoby gdyż drogi były bardzo niepewne i zagrożone od błąkających się jeszcze po ostatnich wojnach maruderów wojsk nieprzyjacielskich, którzy kryjąc się po lasach, nie jednokrotnych dopuszczali się na podróżnych rozbojów. Za kolasami przyszło kilkanaście furgonów pod rzeczy i kuchnię, opatrzoną z królewskich magazynów napojami i żywnością, które wieźć trzeba było gdyż ich na drodze za żadne pieniądze nie dostał. Wdzięczna byłam królowi za te dowody łaski dla mnie i troskliwości o moje wygody; myśl że mogły być tylko następstwem dawno obmyślanego systemu, wabienia na własny rachunek cudzych stronników, uczuć tych nie zmniejszała. Bodajby

maldi, hrabia Argenta, potomek starożytnego domu książąt medjolańskich, arcy-biskup Edessy, przybył do Polski w pierwszym roku mojego zamieszkania w klasztorze, po rozpoczęciu nieszczęsnéj méj sprawy w Rzymie; ta okoliczność zbliżyła mnie do niego i dała sposobność głębszego poznania téj pięknéj duszy, wzniosłego i szlachetnego serca. Przez lat ośm, częstym bywał u mnie gościem, rozmawialiśmy wiele i prawie wyłącznie o Rzeczypospolitéj, jéj stanie, potrzebach i grożących jéj niebezpieczeństwach. Rozmowy te wielce pouczające, oświecające mój umysł, tém bardziéj mnie do mojego narodu przywiązywały, że wykazywały wielką i szlachetną jego charakteru stronę. Monsignor Grimaldi kochał Polskę całą gorącością uczuć szlachetnego serca, mało się z niéj wydalał i to czynił tylko w ten czas, gdy konieczne obowiązki urzędu jego wymagały. Mało też przebywał w Dreznie, nie wiele uczęszczał na dwór Augusta, a jeżeli mu się zdarzyło przestąpić progi zamku, to jedynie w charakterze anioła pokoju, godząc naród z królem i króla z narodem. Przed przybyciem na nuncjaturę do Warszawy, sprawował obowiązki legata papiezkiego w Hiszpanji, i Bawarji. Dziki kastyljański charakter i niemiecka feodalna duma, raziły pełne łagodności, miłości i wyrozumiałości dla wszystkich, usposobienie Grimaldiego, które bardziéj nakłaniało go ku Polsce, jéj prawom, obyczajom i politycznym instytucjom. Ubolewał wprawdzie nad wadliwością ustaw, ale w ich źródle i zawiązku wielkie dążności i cele upatrywał. Widział że rzeczpospolita chyli się do upadku przez brak politycznéj dojrzałości, bo u niéj serce i wyobraźnia górują nad zmysłem praktycznego i systematycznego rządu. Widział on jak na dłoni grożące jéj niebezpieczeństwo, w częstych swych z członkami sejmu, z ministrami korony rozmowach, błagał ich aby się jęli koniecznych reform; jak nowy Jeremjasz z płaczem okropną przepowiedział przyszłość. Grimaldi posiadał miłość Polaków, bo sercem ich ukochał, a rzadkim taktem obdarzony, umiał rozróżnić granicę rozdzielającą nuncjusza apostolskiego, od ministra państwem rządzacego. Nie wdawał się w wewnętrzną administrację kraju, nadzwyczajnemi wymaganiami nie turbował króla i sejmu, sprawę obcych wyznań, przywileje kościoła, oddawał rozpoznaniu prymasa jako będącego z urzędu *legatem apostolskim*. Nie dziw zatém, że gdy nuncjusz na ciężką zapadł chorobę w Warszawie, płakał król, płakał naród nad łożem boleści wielkiego męża. W chwili gdy przybył mi zwiastować wyrok stolicy apostolskiéj w méj sprawie, ciągnęła daléj Marja-Józefa, nosił on w sobie zaród choroby, mającéj go w kilka miesięcy Polsce i kościołowi wydrzeć. W częstych swych u mnie, w pierwszych latach, odwiedzinach, po słowach pełnych religijnéj i ojcowskiéj pociechy, któremi bóle serca mojego koił, najulubieńszym przedmiotem rozmowy dla niego była Polska, jéj dzieje i polityka. (Przyp. aut.)

wszyscy mocarze tego świata podobnych na zjednanie sobie przyjaciół i wiernych poddanych używali sposobów!.. Gdy przyszła chwila odjazdu i usłyszałam turkot wjeżdżających na zewnętrzny klasztorny dziedziniec pojazdów, doznałam trudnego do opisania uczucia żalu i trwogi. Po raz drugi opuszczałam surowe ale spokojne klasztorne schronienie, jednak z wcale różném od poprzedniego usposobieniem. *Dawniéj* widywałam się z ojcem, widok jego i myśl że mam w nim opiekuna i podporę, mniéj gorzkim czyniły rozdział z matką Dolormc; do uczucia żalu i tęsknoty przyczyniły się inne daleko silniejsze; *nadzieja* opromieniona urokiem nieznanego szczęścia, które w młodocianéj wyobraźni nigdy nie uwodzi, *ciekawość* poznania życia, téj krainy ułud, które młodzieńcza niewiadomość w tak żywych przedstawia barwach. *Po raz drugi* opuszczałam spokojne zacisze, aby znów wracać do życia, jako znanego mi już państwa twardéj i kłopotliwéj rzeczywistości; byłam w położeniu podróżnego który długo błądząc po niepewnych i krętych manowcach, z téj mozolnéj drogi, po niejakiéj przerwie, znów tę samą ma przed sobą przestrzeń. Do ciężkiém doświadczeniem okupionéj wiedzy dróg, które miałam przed sobą, dodać należy moje przykre i wcale wyjątkowe względem królewica położenie. Długie jego, bo przeszło dziesięcioletnie zaniedbanie, tęsknota, gorycz, rozczarowanie, wreście mocno dotknięta kobieca godność i duma, jeżeli nie wyrugowały z mojego serca ślepego do męża przywiązania, uczynić musiały pewien między nami rozdział, który tylko czas i wznowiona znów miłość lub przyzwyczajenie, usunąć ledwo mogły. Pytania, czy *on* mnie będzie kochał, czy mnie kocha, czy jedynie przyzwoitość, posłuszeństwo dla władzy kościelnéj, nie spowodowały jego odezwy i żądania powrotu do niego, bardzo naturalnie nastręczały mi się i sama myśl widzenia go, strachem mnie przejmowała. Błaha na pozór okoliczność, przyczyniła się do powiększenia jeszcze w mém sercu tego uczucia trwogi. W dzień przeznaczony na mój wyjazd, pierwsza moja panna służąca, nowo przyjęta, idąc za powszechnym zwyczajem, ubierając mnie, postawiła duże zwierciadło na gotowalni. Sprzęt ten konieczny, niezodowny dla światowéj kobiety, od lat dziesięciu nie postał w mojéj sypialnéj komnacie. Złowrogiem przeczuciem wiedziona, niechętném i trwożliwém rzuciłam nań okiem!.. O cóż za przykry przedstawił mi się widok!.. coś nakształt zgliszczów udatnego niegdyś budynku, złowroga pieczęć ręką czasu na młodych rysach przyłożona!.. O jak wielką zmianę, dziesięć lat cierpień przynieść może w postaci kobiety! Twarz moja niegdyś biała i gładka, pokryła się przejrzystą trupią bladością, zęby zczerniały, usta zgrubiały, nos się przedłużył i powiększył, oczy straciły żywość i połysk, łzy pozostawiły na licach czerwonawy ślad swojego przejścia, czoło i skronie narysowały się kresami zapowiadającemi zmarszczki starości.... Bezprzytomna prawie, długo wpatrywałam się w siebie, nieznane a przynajmniéj dawno przebrzmiałe uczucia jakby żalu za młodością, za urodą, tłumnie się dobywały do mojego serca, jakiś głos niby z głębi duszy wychodzący wołał: *twój mąż cię nie pozna, nie zna cię taką jaką jesteś.* O jakże w téj chwili żałowałam spokoju który opuszczałam, w jakich powabnych barwach przedstawiała mi się klasztorna cisza?... Widząc się sama, pocieszałam myślą że wyjazd mój odemnie zależy, że nikt mnie do niego nie zmusi, obejrzałam się do koła, nic się w mojéj sypialnéj komnacie nie zmieniło, książki, pamiątki, obrazy, były jeszcze na swojém miejscu! Ułuda nie długo trwała, rżenie koni królewskich drabantów, szczęk ich pałaszy, wołanie pocztylionów, cieniutki głos kobiet moich służebnych pakujących rzeczy na furgony, bieganina i pisk poczciwych zakonnic, zalegających korytarze i chcących mi się jeszcze czémś przysłużyć, głośny płacz pensjonarek; wszystko to musiało mnie zwrócić do smutnéj rzeczywistości. W końcu paki większe i mniejsze zalegały ostatnią komnatę, do któréj się schroniłam, a matka Domicella zapłakana weszła z oznajmieniem że wszystko do podróży gotowe. Rzuciłam jéj się na szyję i długo się od niéj oderwać nie mogłam; wsparta na jéj ramieniu zeszłam na dół. U furty spotkałam księcia miecznika Lubomirskiego i brata mojego, kasztelana Zakroczymskiego którzy powitawszy mnie,

oświadczyli że mają rozkaz od Jego Królewskiéj Mości, asystowania mi przez ciąg podróży i odprowadzenia mnie do Żółkwi. Wsiedliśmy wszystko troje do pierwszéj kolasy, moje służebne zajęły miejsce w drugiéj, reszta służby mieściła się jak mogła w furgonach. Kurjer królewski uprzedził nas na kilka godzin dla zamówienia koni na stacjach i przygotowania wygodnych popasów i noclegów, my zaś zboczyli dla odwiedzenia w zamku makowskim starościny Ostrowskiéj, bratowéj mojéj, z którą w smutku i tęsknocie dzień jeden przepędziliśmy. Wolą króla było, aby się podróż moja odbywała, według przyjętéj w jego podróżach etykiety, co w okolicznościach w których się znajdowałam, wielce mogło być dla mnie utrudzającém. Dla uniknienia po miastach i miasteczkach uroczystych przyjęć, bram tryumfalnych, illuminacji i oracji na pół polskich, na pół łacińskich, uprosiłam księcia miecznika, że wysłał naprzód mój fraucymer z rozkazem puszczenia wieści że mój przejazd już w najściślejszém nastąpił incognito. Polecenie to w zupełności zostało wykonane, w skutku czego oracje wróciły do kieszeni mówców, świece pogaszono, bramy tryumfalne zwinięto, mieszkańcy miast i siołów zasypiali spokojnie, po kilku godzinach utrudzającego na drodze oczekiwania i niezaspokojonéj ciekawości, a nasze pojazdy toczyły się zwolna po bagnach i trzęsawiskach ziem lubelskiéj i halickiéj. W czasie téj podróży, gdy moi panowie smaczno nieraz zasypiali, ja czuwałam oczekując w trwodze i niepokoju pierwszego widzenia się z królewicem. Czwartego dnia drogi, gdy znaleźliśmy się o trzy mile od Lwowa, jeden z paziów siedzących na koźle naszéj kolasy zawołał donośnym głosem, że widzi z daleka liczny poczet jeźdzców, galopujących ku naszéj stronie. Serce gwałtownie mi bić zaczęło, krew mi się w żyłach ścięła; po chwili otoczył nas hufiec dorodnéj młodzieży, kolasa się zatrzymała, drzwiczki rozwarły z szybkością, ukazał się człowiek blady, chudy, znacznie podstarzały z szronem na rzadkich już włosach, z wyrazem jakiegoś zakłopotania na twarzy. Domyśliłam się raczéj niż poznałam królewica. Ubrany był po polsku, co było dobrą dla mnie wróżbą, gdyż przybrał strój narodowy, w szczęśliwych chwilach naszego poznania i pożycia, i nosił go zawsze gdy chciał mi zrobić przyjemność lub niespodziankę. Ośmielona tym widokiem, wyciągnęłam rękę ku niemu, ale słowa powitania zamarły mi na ustach.... Uchwycił królewic rękę moję i do ust przycisnął. Moi towarzysze, ustąpili mu z uszanowaniem miejsca w kolasie i przesiedli się na konie. Królewic grzecznie się im skłonił, usiadł koło mnie i daléj ku Lwowu jechać kazał.

D. c. n.

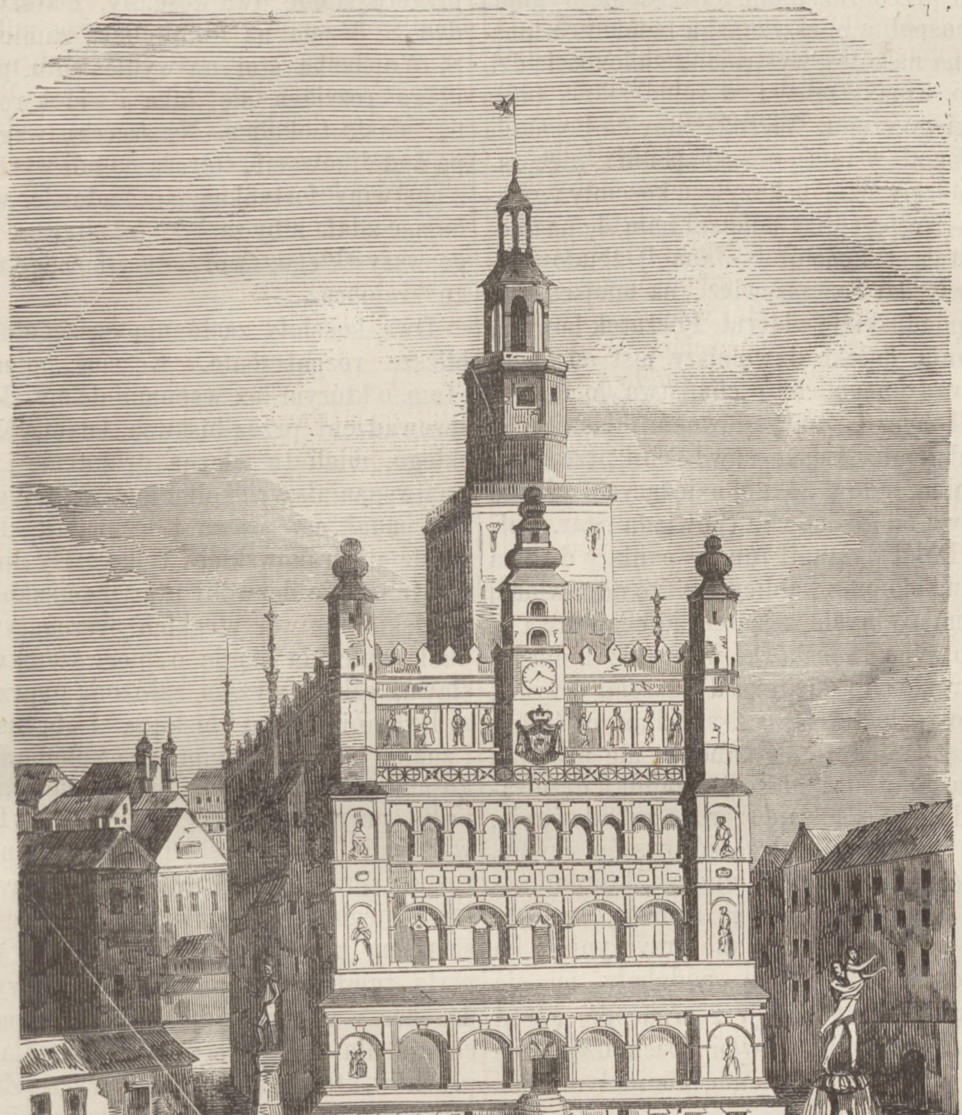
KORRESPONDENCJA Z NAD BALTYKU.

(Dalszy ciąg.)

Daléj tedy na Baltyk spoglądając, kreślimy dla was wspomnienia z podróży.

Po siedmiodniowéj drodze ze Słupcy, przybyłam do Poznania.... Poznań rozsiadł się na rozległych równinach, a nad Wartą znajdują się drogi piasczyste, tak dobrze, jak nad Wisłą. Utrzymują, że twierdza Poznania, jest jedną z najlepiéj ufortyfikowanych, ale to najmniéj zajmuje przybywającego podróżnika. Tu przebywali i tu złożyli swe śmiertelne szczątki, założyciele państwa, a dzielące nas od nich długie pasmo wieków, utkane z blasków bohaterstwa i łzawéj mgły niepowodzeń, jeszcze większym otacza ich urokiem. Jednak zamku Mieczysławowskiego dziś już śladu nie ma; miał on istnieć przy katedrze na prawym brzegu Warty, w XIII zaś wieku, Przemysław I wielkopolski książę, uprzykrzywszy sobie ciągłe zalewy, opuścił go, a zbudował inny, upatrzywszy wzgórek samorodny, o którym wieść gminna mówi, że po śmierci Mieczysława Gnuśnego, na ukaranie ludu poznańskiego, który do bał-

wochwalstwa wracał, Pan Bóg kazał lucyperowi porwać jednę górę ze Szląska i wrzucić ją do Warty, dla zatopienia wezbranemi wodami bezbożnych mieszkańców. na miejsce przeznaczenia; kur zapiał a djabli mimo całéj zręczności swojéj, górę o kilkaset kroków od rzeki upuścili. I rzeczywiście ta zamkowa góra, wydaje się jak upu-



Ratusz w Poznaniu.

Lucyper naturalnie nie zaspał sprawy i co prędzéj roje usłużnych wyręczycieli, wysłał ku niemieckim granicom. Podanie nie powiada z jakiego łańcucha urwali oni tę górę, ale widać, że się mocowali z nią długo, kiedy ją nie zdążyli donieść przed północą szczona przypadkiem, wśród gładkiéj zkąd inąd płaszczyzny, na któréj miasto zbudowane. Z trzech stron tak ją gęsto otaczają domy rozliczne, że jéj nawet dostrzedz nie można, z jednéj tylko strony najbardziéj widoczna, zbiega pochyłą wązką uliczką na

rynek koło pałacu Działyńskich. Ztamtąd też widać otaczające ją mury, za któremi stoi zamek, który już przed Kazimierzem W^{kim} wznosił się tu murowany, późniéj uległ różnym przeobrażeniom, a dziś sobie wygląda jak pospolita mieszczańska kamienica, umalowana na żółto, wystrojona zielonością dzikiego wina i mieści w sobie jakieś bióro pruskiego rządu. Wjeżdżaliśmy do Poznania z osobami w nim mieszkającemi, więc za raz zaczęły nam pokazywać kościoły i gmachy. — Najpierwszy pokazał nam się na uboczu stojący kościół Ś. Jana [1]) zbudowany jak twierdzi Łukaszewicz, na miejscu dawnéj pogańskiéj świątyni. Początek bowiem Poznania, daleko dawniejszy jest od epoki wprowadzonego chrześcijaństwa do Polski; musiał być dawniéj główném miastem jakiejś dzielnicy książęcéj w Lechji, przed skojarzeniem ludów do niéj należących w jedno państwo od Ziemowita (powiada Star. Polska). Daléj wystąpił tum wspaniały dwoma wieżami i kopułą kaplicy, świeżo odnowionéj dla śmiertelnych szczątek Mieczysława I, i jego syna Bolesława, wnet téż i miasto całe rozłożyło się przed naszemi oczyma, miasto rozleglejsze, niż sądziłam na kilkadziesiąt tysięcy mieszkańców, ale przerzynająca go woda, place i chodniki drzewami sadzone, rozsuwają szeroko zabudowania, a tém samém powietrze zdrowszém czynią. Niektórzy twierdzą, że drzewa, któremi sadzone są ulice, zbyt są symetryczne, obcięte, sztywne i wcale nie przyczyniają im piękności, co do mnie, podobały mi się te jasne bukiety akacji rozrzucone wśród miejskich murów, a woń rozchodząca się z nich w czasie kwitnienia, nie małym musi być powabem.

Ulice dziś zwane: Frydrychowska i Wilhelmowska, przecinające się na krzyż, są środkiem najprzedniejszéj części miasta. Od nich dąży ku rynkowi ulica Nowa, gdzie księgarnie znanych nam dobrze firm: Żupańskiego i Kamińskiego i ów *bazar*, to jest hotel założony przez współkę, do któréj także należał Tytus Działyński, w którym wszyscy mówią po polsku, co w Poznaniu nie jest zwyczajną rzeczą. Daléj za starożytnym kościołem Ś. Marcina, stoi posąg Mickiewicza nie budzący dość estetycznego wrażenia, gdyż rękę ma tak dziwnie owiniętą w płaszcz, że się zdaje, jakoby ją dopiero co wywichnął i zawiesił na temblaku. Na przeciwległym punkcie miasta, leżą na przeciw siebie dwa kościoły, z których jeden Ś. Józefa na ewanielicki zamieniony; Ś. Wojciecha stoi na wyniesieniu, poniżéj niego rozciąga się łąka i widok rozległy na miasto i okolice. Na szeregu wzgórzów po nad drzewami, stérczą na pół wychylone z gęstwiny fortyfikacyjne budowle, wyglądające zdala niby zamki fantastyczne i z tego wszystkiego, tworzy się ślicznego rysunku krajobraz.

Dwa kościoły zasługują szczególniéj na bliższe rozpatrzenie. Kościół pojezuicki i tum, o którym już wspomnieliśmy. Jezuici sprowadzeni przez biskupa Adama Konarskiego, mieli tu własną drukarnię i jedno z najwspanialszych kollegjów. Król Zygmunt III. nadał mu prawa i przywileje służące akademji krakowskiéj i tylko stały opór téj ostatniéj, nie dozwolił utrzymać szkole poznańskiéj uniwersyteckich prerogatyw, jednak walczyła ciągle o pierwszeństwo ze sławną szkołą wyższą, założoną poprzednio w Poznaniu przez biskupa Lubrańskiego i znaną jako kollegjum jego imienia. Otóż kościół pojezuicki, lubo sklepienie jego kopuły przypominającéj kościół Ś. Piotra w Rzymie zawaliło się i znacznie zniżone zostało, przecież piękną jeszcze tworzy całość i jego wnętrze lepszym odznacza się smakiem niż wnętrze, jakkolwiek wspaniałe, tumu. Do tumu jednak śpieszy wędrowiec z większą jeszcze czcią i pośpiechem, dla tych jego wspomnień, dla tych prochów, którym schronienia użycza. Zwłoki Mieczysława i syna jego Bolesława, niszczyciel czas, do bardzo małéj objętości zredukował. Spoczywają one w jednéj trumience schowanéj, jak słyszałam, w kapitularzu czy w skarbcu. W kaplicy stoi jednak przeznaczony dla nich sarkofag z napisami i ozdobami z rzeźby, z których dwie figurki są wzięte z dawnego mieczysławowskiego grobowca. Różne są zdania o piękności, świeżo odnowionéj staraniem Raczyńskiego ze sum składkowych, kaplicy. Jedni zarzucają zbytek ozdób i użycie bizantyjskiego stylu. Drudzy pomijając usterki w smaku, uważają na to tylko, co w niéj piękne i ja je-

[1]) Poprzednio poświęcony Ś. Michałowi.

stem z ich liczby. Podobała mi się myśl wyobrażenia na górném sklepieniu wizerunków wszystkich ŚŚ. Patronów i Patronek Polski, którzy ze złożonemi rękoma występują ze świątlannéj przestrzeni tła złocistego, jako przedstawiciele duchowi, jako pełne słodyczy orędowniki téj krainy, a patrzcie, oto na boku, tam gdzie zdaje się spływać z góry błogosławiące spojrzenie, tych wszystkich nadziemskich postaci, stoją dwaj mężowie ze spiżu. Jeden z nich w poważnym książęcym płaszczu, trudy żywota pochyliły mu barki, a rozwaga napiętnowała wysokie czoło. Na całéj twarzy znać jakąś ostrożność i zdumienie, jakby szereg nowo budzących się myśli, a w ręku trzyma krzyż, którym toruje nowe drogi rodzącemu się państwu. Drugi mąż stoi cały zakuty w pancerz bohatera, a silną jest prawica, którą oparł na mieczu, jak wola, która nią kieruje. On wié dobrze, gdzie dąży i nie wątpi, że dojdzie do celu i oto żelazne słupy, strzegą granic rozszerzonego kraju, a on, co ich posadę znaczy, *wielkim* okrzyknięty. [1])

Na odnowienie téj kaplicy, składała się liczna ludność, nie jeden nawet groszak wyszedł z pracowitéj wieśniaka dłoni. Raczyński dał wprawdzie 20,000 talarów, ale ponieważ téż mógł dać najwięcéj, więc oburzono się bardzo, gdy kaplica nazwaną została jego fundacji. Mówią, że zmartwienie, jakie mu różne ztąd przymówki sprawiły, przyczyniło się do popchnięcia go ku śmierci. Jest tam jeszcze w ołtarzu piękny obraz mozajkowy Matki Boskiéj, kopjowany z olejnego obrazu Tycjana, dar pani Raczyńskiéj, w samym zaś kościele liczne pomniki grobowe, zwracają uwagę wspaniałością swą. W ostatnich czasach, postawiono tu posąg dla arcybiskupa Dunina.

Obok tumu, stoi zamek biskupi za ogrodem, w miejscu, gdzie go jeszcze w XIII wieku wznieśli poznańscy biskupi. Ale następnie ciągłym podlegał przeobrażeniom. Każdy z kolei biskup, jeżeli nie zupełnie przebudował, to przynajmniéj coś dodał lub ozdobił. Za Augusta II. Sasa, Jan Tarło biskup, kazał zupełnie nowy postawić, a niedługo potém przerabiał go Czartoryski. Obecnie zajmuje go ksiądz arcybiskup Przyłuski.

Lecz istném cackiem starożytnéj architektury, jest ratusz poznański, lubo znać że wieża jest późniéj przebudowana, jednak to nic wrażenia piękności nie psuje. Łukaszewicz w swojéj historji Poznania twierdzi, że był pierwotnie przez Przemysława I postawiony i różnym musiał uledz kolejom, w czasie ciągłych zatargów książąt między sobą. Dawniéj były na główném facjacie posągi Lecha, Czecha i Russa, dziś dopatrzeć można zacierające się wizerunki królów polskich. Magistrat poznański w czasach niebezpieczeństw, przyjmował do zachowania w ratuszu rozmaite kosztowności i pieniądze osób prywatnych. Archiwum i ważne dokumenta rządowe, były w nim zawsze złożone. Ostatnia najważniejsza reperacja ratusza, dopełniła się staraniem Kazimierza Raczyńskiego, jenerała wielko-polskiego. Jest to imie często powtarzane w historji miasta tego. Dzisiejsza biblioteka publiczna jest także imienia Raczyńskich, przekazana przez niedawno zmarłego, znanego z zamiłowania krajowéj literatury Raczyńskiego.

Historja mówi, że Poznań wiele ucierpiał za czasów dwóch wojen szwedzkich, podupadł zaś po drugiéj, dzisiaj téż, już tylko po zapomnianych kątach, można oblicze dawnego miasta dopatrzeć; jest to sobie obecnie czysto utrzymane miasto do wszystkich nowożytnych niemieckich podobne. Dopiero wejrzawszy w jego życie wewnętrzne, przepatrzywszy nakłady księgarń, które się z powodu szczupłego obrębu swojéj prowincji, wielkich zysków spodziewać nie mogą, zasłyszawszy o tém i owém zacném usiłowaniu, serce rośnie pociechą....

Chociaż droga wypadała mi w inną stronę, miałam sobie jednak za obowiązek zrobić wycieczkę do Kórnika, miejsca świeżo upamiętnionego pobytem i zgonem pełnego zasług obywatelskich Tytusa Działyńskiego. Osoby które go znały z bliska w poznańskiém, mówiły mi, że życiorys jego przez Juliana Bartoszewicza, jest bardzo trafnie skreślony, a oprócz tego życiorysu miałam jeszcze w pamięci pełno szczegółów, potwierdzających słowa Bartoszewicza: że „to był Polak w całém znaczeniu tego wyrazu,“

[1]) Posągi Mieczysława i Bolesława, są roboty artysty berlińskiego Raucha; będę się starała dać wam ich rysunek.

że służył gorliwie społeczeństwu swemu, zdolnością i majątkiem. Że zaś najtrwalszy i najbardziéj użyzniający niwę narodowego żywota pomnik, jaki ziomkowie stawić mogą zasługom człowieka tak nauczającego przykładu, jest ciągła o nim pamięć, więc ten hołd należy się Działyńskiemu od każdego wędrowca, który w te strony zawita.

Raz powziąwszy projekt wyjazdu do Kórnika i dostawszy pozwolenie zwiedzenia pałacu, od szanownéj jego właścicielki [1]) mogłam go łatwo doprowadzić do skutku, bo temu zwłaszcza, co nie wiezie z sobą pakunków, dosyć jest na pół godziny przed odejściem poczty się zapisać, karety zaś pocztowe z Poznania, po dwa razy co dzień na różne punkta się rozchodzą i nie miejsca ograniczone naznaczają ilość podróżnych, ale od liczby podróżnych, zależy ilość karet mających ruszyć w drogę. W trzy godziny po wyjeździe okazał się oczom moim Kórnik, nie tylko dzisiejszą świetnością się chlubiący, był bowiem niegdyś siedliskiem Górków rodziny, a zamek, w którym przed laty Stanisław Górka wojewoda poznański, przyjmował jadącego z Francji Henryka Walezjusza, nie ustępował we wspaniałości dzisiejszemu, a w zbytkach zapewne go przewyższał. Następnie majętność ta przeszła do Czarnkowskich, zkąd do Działyńskich dostała się przez małżeństwo. We wstępnéj sali dzisiejszego zamku, nieco za miasteczkiem położonego, jest naturalnéj wielkości portret Teofili Działyńskiéj, która poszedłszy za Szołdrskiego, zostawiła dobra kórnickie synowi swemu Feliksowi, przez co późniéj długie procesa między Szołdrskiemi i Działyńskiemi wynikły, aż nareście ci ostatni Kórnik odebrali, a śp. Tytus zniszczony zamek odbudowywać zaczął. „Narodowość nasza, silnie wtedy ścierała się w poznańskiém z naciskiem germanizacyjnym (powiada J. B. Tyg. ill. str. 215). Do szkoły i do prawodawstwa rząd wprowadził język niemiecki, ułatwiał swoim kupno dóbr ziemskich, zaludniał osadami niemieckiemi strony czysto polskie, przeciągał do siebie żydów. Obywatele stawili dzielny opór, przywoływali na pomoc prawa swoje i kontrakty, a chociaż nie mogli w nierównym boju iść przewagą po nad przeciwnym obozem, walczyli ciągle i nie ustawali w pracy. Żeby więc zasilić pierwiastek narodowy w poznańskiém, Działyński wszelkie roboty w Kórniku, powierzył tylko polskim rzemieślnikom. Było to nowe poświęcenie, bo nic oglądał się zacny pan na cenę, na oszczędność i drożéj płacił, ażeby tylko wszystko miał swoje.“

Tutaj jeszcze muszę przytoczyć szczegół, który mi opowiadano w Poznańskiém. Osoba blisko śp. Tytusa dotycząca straciła na zagranicznym banku znaczne summy, co także stało się poniekąd jego osobistą stratą. Czy myślicie że się zasępiło jego czoło? nie, on tylko zatarł ręce z wesołym uśmiechem, bo uważał to jako karę za grzech przeciw krajowi i rzekł: „Dobrze tak, dobrze, polskie pieniądze w Polsce pozostać winny.”

Przyznajcie, że gdyby podobny przykład, był tak zaraźliwy jak francuzkie szczebiotanie, jakieżby z niego nieobliczone korzyści wypłynęły dla kraju!

Zamek Kórnicki otoczony ogrodem złożonym z najrozmaitszych gatunków drzew i krzewów, przedstawia pełną smaku całość w zewnętrznéj powierzchowności, wewnątrz jednak jest jeszcze nieukończony i roboty daléj się prowadzą; nawet podobno nie zdecydowano ostatecznie gdzie ma się mieścić księgozbiór; nie jedenby też może i nie uwierzył, ża ten sławny i cenny zbiór ksiąg i rękopismów Kórnicki do wyraźnego ładu doprowadzony jeszcze nie jest i po większéj części w pakach się mieści. Wprawdzie górne piętro sali przeznaczonéj na muzeum założone już książkami w szafach i obecny bibliotekarz (następca Romanowskiego), pan Rustejko pracuje nad ułożeniem katalogu, ale czeka go praca powtórna przy układaniu książek na półkach. Otóż powtarzam, że zdziwiła mnie ta zwłoka co do urządzenia księgozbioru, tam gdzie wiedziałam, że on przecie nie jest samą tylko pańską fantazją, gdzie zgasł nie dawno taki gorliwy miłośnik nauk, tak wyjątkowo hojny wydawca rzeczy dotyczących dziejów krajowych. Mając te jego zamiłowania i zasługi przytomne w pamięci, wyobraziłam sobie, że zastanę w Kórniku

[1]) Wdowy po Tytusie Działyńskim, hr. Celiny z Zamojskich.

księgozbiór na pierwszym planie, jako punkt ześrodkowujący w sobie silnie tam bijące tętno życia umysłowego, jednak nie wyprowadzam żadnych wniosków z tego małego zawodu, ani mnie on też skłania, do jakichkolwiekbądź uwag niechętnych, gdyż wiem że szlachetne dążności zmarłego nie zagasły z nim razem. Jedna duża dwu piętrowa sala zamkowa napełniona jest różnego rodzaju pamiątkami zebranemi po większéj części przez hr. Jana syna Tytusa, który, jak mi mówiono, ma równie zacne jak ojciec, poczucie obywatelskich obowiązków. Mieszczą się w niéj różnego rodzaju zbroje, rzędy na konie, buńczuki, buławy, ołtarz srebrny składany, z męką Pańską i obrazem Boga-Rodzicy u góry, staroświecki stolik wyłożony srebrem, pyszny miecz z rękojeścią drogiemi kamieniami sadzoną, kilka cennych portretów jak np. Zygmunta Augusta malowany na drzewie, wizerunek kobiéty niezrównanie pięknego oblicza (jakiejś Radziwiłłówny podobno) co wszystko zakupione jako wspomnienia po królach i bohaterach naszych. Są i różne wykopaliska, popielnice, miecze starodawne wydobyte przypadkowo z wody, o dawnych zapasach z wrogami świadczące. Niektóre z tych przedmiotów były na wystawie Krakowskiéj. W jednéj szafce umieszczona jest także tabakierka dana ojcu Tytusa Działyńskiego przez Napoleona Igo. W złotéj oprawie tkwi prześliczna mozajka wyobrażająca psa igrającego z kotkiem.

Do téj wspaniałéj sali opierającéj swe sklepienia na żelaznych słupach idzie się po wschodach, wśród obszernéj prawdziwie pałacowéj sieni, ozdobionéj historycznemi portretami. Nie znam ozdoby, którąby bardziéj oczy nęciła, jak te oblicza z minionéj przeszłości, spotkane jeszcze w miejscu, gdzie się spodziewać można że to autentyki, wierne wizerunki osób, które przedstawiają. Zaraz u wstępu stoi dwoje Działyńskich mąż i żona, dawni Kórnika właściciele w naturalnéj wielkości; daléj Franciszek Mielżyński kasztelan Szremski fundator Kórnickiego kościoła i Jan Działyński wojewoda Gnieźnieński który go dokończył. W bok na lewo zajmujące wizerunki królów szwedzkich, których gościna w Polsce, tak smutnéj dla nas pamięci, Karola Gustawa i Karola XIIgo. Nad wschodami wisi piękny portret Władysława IVgo z jego lat młodych i również naturalnéj wielkości portrety dwóch Sasów. Daléj mniejszego formatu Zygmunt IIIci Jan IIIci i inni. — Sala wchodowa mieści także portrety, między któremi stoi poważnie z pastorałem w ręku Andrzéj Górka biskup poznański, a wspomniana Teofila Działyńska z pierwszego męża Szołdrska z drugiego Potulicka, strojna, wypudrowana, rozsiadła się w ogromnych rogówkach zupełnie przypominających dzisiejszą *krynolinę*. W saloniku po prawéj stronie urządzonym według konfortu dzisiejszego życia, dostrzegłam kolorowane wizerunki z herbami, powtarzające kartki znanego przepysznego wydania rodowodu Szydłowieckich, które śp. Tytus po większéj części rozdarował, nie dbając, ażeby mu się choć w części wrócił nakład jego znaczny. Jest tam także kilkanaście portretów familijnych. Po stronie lewéj sali wchodowéj znajduje się sala niezmiernie zajmująca, któréj cały sufit podzielony na 72 kratek czyli kwadratów, a w każdym z nich inny herb w płasko-rzeźbie kolorowanéj w odpowiedniém polu. Dla jednego tylko kwadratu zabrakło herbu i pozostał pusty. Ściany sali zawieszone są dawnemi portretami kobiet i mężczyzn.

Widzicie zatem łaskawi czytelnicy, że jest się czemu przypatrywać i nad czém rozmyślać zwiedzając Kórnik; księgozbiór jest szczególniéj bogaty w rzadkie rękopisma i listy, ale kto przyjechał na kilka godzin, nie wiele o nich powiedzieć może. — Przed odjazdem weszłam jeszcze na wieżę, aby się przyjrzeć miejscowości. Okolica to prawdziwie Wielkopolska — płaska, żyzna, jeziorami poprzerzynana. Po za ogrodem zamkowym dostrzegłam powabnie się rysujące małe miasteczko Bnin. *(D. c. n.)*

POWIEŚĆ O DWÓCH MIASTACH DICKENSA.

(Dalszy ciąg.)

— Nie rozumiem cię dobrze, rzekł stryj — popijając kawę, — wytłumacz się nieco wyraźniéj.

— Jestem pewny, że gdyby nie ta okoliczność, że jesteś panie w niełasce u dworu, wyrobiłbyś mi niezawodnie paszport do Bastylji.

— Być może, rzekł stryj z wielkim spokojem, uczyniłbym to dla honoru familji, proszę, wybacz mi, że ci to mówię tak otwarcie.

— Szczęściem jednak dla mnie, zabiegi twoje panie u dworu nie uzyskały pożądanego skutku.

— Ja tego szczęściem dla ciebie zupełnie nie nazwę. Wpływ samotności mógłby zbawiennie oddziaływać na ciebie. Uważam to za największe złe naszych czasów, że dla pozyskania tych łagodnych środków poprawy i dla poparcia godności i splendoru imienia, potrzeba dziś robić tak wiele zachodów i usilnych starań. Nie tak było dawniéj w naszéj ukochanéj Francji, dzisiaj źle jest bardzo i na coraz gorsze się zanosi. Nasi przodkowie mieli prawo miecza w obrębie swoich majątków; wielu wyprowadzono psów z tego pokoju wprost na szubienicę, a w téj oto sypialnéj komnacie jeden z przodków moich trupem na miejscu położył zuchwalca, który się ważył podnieść oczy na jego córkę. Utraciliśmy dużo przywilejów, nowa filozofja jest dzisiaj w modzie, a jeżeli wystąpimy z naszemi prawami, możemy się jeszcze narazić na nieprzyjemności. — Źle jest i bardzo źle! Markiz zażył tabaki i smutnie pokiwał głową.

— W dawnych i teraźniejszych czasach — rzekł ponuro Karol — nasz ród w ten sposób wykazywał prawo i znaczenie swoje — że nasze imie ściągnęło większą ohydę i nienawiść niż jakiebądź inne nazwisko w całéj Francji. —

— Wiedz o tém przyjacielu, że nienawiść którą okazuje pospólstwo dla osób wielkiego świata, wynika z zawiści i bojaźni, a zatém z mimowolnego szacunku. —

— Tak, w każdym pokłonie tych ludzi widzę tylko obawę i niewolnictwo.

— To dowodzi właśnie że pojmują wyższość i znaczenie naszego rodu — rzekł markiz biorąc drugą szczyptę tabaki i zakładając na krzyż nogi. —

Kiedy Karol zakrył twarz rękami oparty w zadumaniu na stole, markiz patrzał się na synowca z ukosa, a zamaskowana dotąd pozorem obojętności twarz jego przybrała wyraz chytrości i nienawiści.

— Znam tylko jednę filozofją mój przyjacielu, która zależy na surowém obejściu się z podwładnemi. Jedynie tylko szacunek, który jak słusznie uważasz wynika z bojaźni i niewolnictwa, może utrzymać tych psów w posłuszeństwie; a chociaż ty pogardzasz twojém imieniem, ja postaram się utrzymać potęgę i godność naszego rodu. Ale musisz być utrudzony podróżą, może już czas byśmy zakończyli naszą rozmowę?

— Proszę jeszcze o chwilkę.

— Nawet całą służę ci godzinę jeżeli życzysz sobie.

— Panie, zrobiliśmy dużo złego, a więc złe także zbieramy owoce.

— Zrobiliśmy dużo złego? powtórzył markiz z pytającym uśmiechem i wskazał nieznacznie palcem na siebie i na synowca.

— Zawiniła nasza rodzina, zacna nasza rodzina, któréj cześć obchodzi mię także ale zupełnie w inny sposób. Nawet za życia mojego ojca czyż niekrzywdziliśmy każdego, kto tylko ośmielił się przeszkadzać w doprowadzeniu do skutku samolubnych naszych zamiarów. Ale na co mam przypominać czasy ojca mojego, kiedy dzisiaj, za twoich rządów panie powtarza się to samo, bo czyż nastała jakakolwiek różnica od czasu w którym brat mojego ojca objął po nim dziedzictwo?

— Śmierć przelała na mnie jego prawa, rzekł markiz.

— I pozostawiła mię na pastwę tradycyjnego systematu którym się brzydzę, za który jestem odpowiedzialny, pomimo całéj niemocy mojéj, a kiedy chciałbym wypełnić prośbę i ostatnią wolę umierającéj matki, która ze łzami w oczach błagała mię ażebym życiem poświęceń i zacnych czynów wynagrodził popełnione bezprawia, napróżno wzywam i szukam wszędzie pomocy.

— Jeżeli się odemnie spodziewasz téj pomocy, — rzekł markiz dotykając wskazującym palcem jego piersi, — wtedy mogę cię zaręczyć że twoje nadzieje są próżne.

Wyraz okrucieństwa i chytrości malował się na twarzy markiza, kiedy stał nieporuszony z tabakierką w ręku i z zimnym spokojem patrzał się w lica synowca. Powtórnie znów dotknął palcem piersi Karola, niby ostrzem kindżału, którym grzeczny dworak chciałby przeszyć niezawodnie jego serce.

— Mój przyjacielu, ja umrę razem z systematem który jest całego mego życia zadaniem.

Markiz wziął znów szczyptę tabaki, zażył ją, poczém schował tabakierkę do kieszeni.

— Lepiejbyś zrobił gdybyś zechciał postępować tak, jak ci twoje urodzenie i twój los przeznacza, rzekł markiz i zadzwonił na lokaja. Ale jak widzę, zgubiony jesteś panie Karolu!

— Kraj i majątek jest stracony dla mnie, rzekł synowiec, a więc wyrzekam się i jednego i drugiego.

— Kraju możesz się wyrzekać ale nie majątku, bo ten nie jest twoim.

— Nie obawiaj się panie wcale, nie myślę ci go wydzierać; gdyby ten majątek przeszedł jutro w moje ręce.....

— Co jednak mogę pochlebiać sobie że stać się nie może.

— Gdyby za lat dwadzieścia.

— Robisz mi dużo zaszczytu, rzekł markiz, ale w każdym razie wolę to przypuszczenie.

— Opuściłbym go niezawodnie i w innéj zamieszkałbym stronie, bo niewielebym stracił porzucając dziką pustynię ruinę i nędzę.

— Wybornie! zawołał markiz spoglądając z dumą na wspaniałe obicia pokoju.

— Wszystko tu piękne jest z pozoru ale przypatrz się tylko w dzień biały, a ujrzysz wszędzie ruinę, długi, ucisk, głód i nędzę.

— Wybornie! zawołał markiz z wyrazem zadowolenia.

— Gdyby to było w mojéj mocy, postarałbym się podnieść ten majątek godziwemi środkami, ale to odemnie nie zależy wcale, bo klątwa cięży zarówno nad tém miejscem jak nad całym krajem.

— Wybacz mi moją ciekawość i powiedz mi kochany synowcze, z czego ty z twoją nową filozofją utrzymywać się myślisz?

— Z pracy.

— Gdzie, czy nie w Anglji?

— Tak jest; w tym kraju plama mego rodu piętnować mię nie będzie.

— Uważam, że Anglja jest bardzo ponętném miejscem dla ciebie.

— Przyjemność, którą osiągam z pobytu w Anglji tobie winien jestem, panie. Ale z resztą, ten kraj dał mi schronienie.

— Ci samochwalcy Anglicy utrzymują że ich kraj jest miejscem mieszkań dla wielu. Czy znasz naszego rodaka doktora, który tam także znalazł schronienie?

— Znam.

— Z córką?

— Tak jest.

— Tak jest, powtórzył markiz, uważam że już jesteś utrudzony; dobranoc! Temi słowy pożegnał synowca, a wyraz twarzy jego był milczący i tajemniczy, jak w tych kamiennych posągach na murach zamczyska.

Synowiec odchodząc ku drzwiom spojrzał się na stryja, ale nic nie wyczytał z jego twarzy.

— Dobra noc, powtórzył stryj, będę mieć przyjemność widzieć się z tobą jeszcze jutro rano. Śpij spokojnie; a ty poświeć memu synowi i zaprowadź go do gościnnego pokoju, rzekł do służącego, i spal go z pościelą jeśli ci się podoba, dodał markiz w duszy; potém znów zadzwonił na drugiego lokaja.

Służący przyszedł do sypialnego pokoju, podał panu szlafrok i odszedł, a pan markiz przechadzał się po komnacie tam i napowrót, a tak cicho i ostrożnie stąpał po podłodze, jak tygrys czychający na zdobycz; rzekłbyś że podobny był w téj chwili do

zaczarowanego markiza w legendzie, który według upodobania przyoblekał się w skórę tygrysa lub zrzucał ją z siebie.

Przechadzając się zwolna po rozkosznéj sypialnéj komnacie przypomniał sobie markiz, że jakiś człowiek podejrzany uwiesił się pod jego powozem na drodze z Paryża i że przepadł tak prędko bez wieści, że ci którzy go widzieli pod powozem nie mogli wskazać jego śladu; daléj stanął mu w myśli obraz stratowanego na ulicy dziecka i wysokiego człowieka, który zatrzymał jego konie i zawołał z rozpaczą: już nie żyje!.... Teraz już ochłodłem, rzekł markiz, i mogę zabrać się do spoczynku. Zagasiwszy wszystkie światła, oprócz lampy która paliła się na kominie, położył się markiz w łóżku i zasunął się lekką gazową firanką.

W przeciągu trzech godzin téj czarnéj nocy kamienne twarze ludzkie i lwie oblicza patrzały się groźnie i ponuro; w przeciągu tych trzech godzin także konie rwały się przy żłobie, psy wyły i sowy krzyczały przeraźliwie. Czarno i ponuro było wszędzie, czarno na zamku, na drodze i na cmentarzu, gdzie trawa pokryła i urówniała groby. Na wsi taksatorowie i biedni otaksowani spali; ci ostatni śnili zapewne o ucztach, rozkoszy i spoczynku, jak zazwyczaj marzą biedni nędzarze, a spracowane woły i wycieńczeni niewolnicy spali tak mocno, jak gdyby wolnemi i najlepiéj nakarmionemi się czuli.

Źródło na wsi płynęło cicho, a fontanna przed zamkiem spadała także niewidzialna i głucha i wody jéj uciekały, jak minuta za minutą ze źródła czasu, w przeciągu tych trzech czarnych godzin nocy. Nakoniec woda zaczęła się mienić w słabém świetle poranku i kamienne oblicza na zamku rozwarły oczy. I coraz więcéj światła spływało z nieba na ziemię, aż nareszcie rumiany promyk słońca zafarbował liście drzew i purpurowym płaszczem osłonił wzgórza; znów woda zdrojowa przed zamkiem stała się jak krew czerwona i kamienne także zapłoniły się twarze. Śpiew ptasząt dźwięczał wysoko i śmiało, a nad oknem sypialnego pokoju markiza jedna mała ptaszyna zawodziła piosnkę z całéj mocy. Twarze kamienne nad oknem zdawały się patrzeć z podziwem, z rozwartą paszczą. Tymczasem słońce w pełnéj zaświeciło chwale i ruch obudził się na wsi. Okiennice i drzwi domów poroztwierano i lud wysypał się z chat w różnych kierunkach, bo różna czekała ich praca; ci wyprowadzali nędzne bydło, na nędzną paszę, tamci szli orać zagony, ci znów kopać ziemię. Tam pod krzyżem klęczała ze złożonemi do modlitwy rękoma dziewczyna, a o parę kroków u stop krzyża krowa szukała pożywienia przy drodze.

Zamek ocknął się późniéj, jak to wielkiemu panu przystało. Najprzód zaczerwieniły się stare włócznie i noże, daléj rozwarły się drzwi i okiennice. Konie w stajniach poruszyły się także, odwróciły głowy, i sąsiad kładł łeb na karku sąsiada i przyglądał się nowo wschodzącemu światłu; liście na drzewach iskrzyły się i szemrały pod oknami; psy rwały się na uwięzi, oczekując z niecierpliwością chwili uwolnienia z łańcuchów.

Wspomniane wydarzenia należą do zwyczajnych szczegółów codziennego życia, ale scena zmieniła się nagle i snać jakiś ważny wypadek musiał mieć miejsce w zamku téj nocy, bo uderzono w dzwon zamkowy i powstał popłoch wielki na tarasie i na dziedzińcu. Ci biegają tam i napowrót po wschodach, ci siodłają konie, tamci rozlatują się na wszystkie strony. Pytanie, co znaczy ten gwar i hałas i tętent koni? dla czego dróżnik, który spokojnie nędzną spożywał strawę, zerwał się nagle i biegnie zadyszany i nie zatrzymuje się aż około źródła? Wszystek lud wiejski zgromadził się nad wodą, starzy i młodzi, kobiety i dzieci i zaczynają szeptać pomiędzy sobą, a na każdéj twarzy maluje się podziwienie. Krowy patrzały się głupowatym wzrokiem na tych którzy je wiedli, inne znów leżąc na ziemi spokojnie przeżuwały trawę. Niektórzy ludzie zamkowi, taksatorowie i pisarze zebrali się tłumnie na wzgórzu, ale niewiadomo w jakim celu. Już dróżnik stanął w kole pięćdziesięciu przyjaciół, machał rękami i bił się w piersi niebieską czapką. Lecz co się to wszystko znaczy, i czemu pan Gabelle taksator i urzędnik pocztowy siedzi z tyłu służącego na koniu i pędzi galopem jak nowy typ do ballady, nakształt Leonory Bürgera?

Otóż ten ruch nadzwyczajny wynikał z jednéj i téj saméj przyczyny, mianowicie, że jedna jeszcze twarz kamienna przybyła téj nocy w zamku. Straszne widmo nawiedziło zamek i do tego zbioru kamiennych twarzy dodało jeszcze jedno kamienne oblicze, na które oczekiwało lat dwieście. To oblicze leżało na poduszce markiza i podobne było do pięknéj maski która zbudziwszy się nagle skamieniała gniewna, a w serce kamiennego posągu, który należał do téj twarzy, był wbity nóż, na około zaś rękojeści tego noża był zwinięty papier i na nim napis:

„Wrzuć go prędko do grobu. To od Jakóba.“

VI.

Po upływie roku od opisanych powyżéj wydarzeń mieszkał jeszcze doktór Manette w dawném miejscu, na rogu ulicy Soho i ci sami goście co i wprzód nawiedzali go w jego ustroniu, ale zaszły niektóre zmiany w położeniu i stosunkach osób téj powieści, o czém nadmienić wypada. Karol Darnay powróciwszy z Francji wszedł w obowiązek nauczyciela, z którego wywiązywał się sumiennie, a w wolnych chwilach od pracy odwiedzał dwór pana Manette. Współczucie które okazała dla niego Łucja, w czasie nieszczęśliwego procesu, poruszyło do głębi duszę młodzieńca i odtąd zaczęła się nowa dla niego era, którą była miłość kobiéty. Wybrawszy chwilę, w któréj Łucji nie było w domu, Karol oświadczył się jéj ojcu, przy czém wyznał że ważne okoliczności zmusiły go do ukrywania prawdziwego nazwiska, ale że jest gotów teraz wyjawić mu wszystko. Pan Manette z wielkiém wzruszeniem przyjął oświadczenie Karola, ale w dowód swego zaufania nieżądał od niego odkrycia tajemnicy, owszem, powiedział mu, że na czas dowié się o prawdziwém jego nazwisku, skoro przyjdzie dzień, w którym połączy się z Łucją. Darnay wiedział dobrze, że oświadczenie się jego o rękę córki, a nadewszystko myśl rozłączenia się z nią może zatrwożyć ojca, dla którego ona była pociechą w życiu, jedynym węzłem który go łączył z tym światem, więc dodał zaraz że prosząc o rękę Łucji nie myśli wcale wyrywać ją z objęć ojca, owszém pragnie tego gorąco, ażeby on cieszył się widokiem szczęścia i nierozłączał się nigdy z niemi. Jakkolwiek ostatnie wyznanie Karola powinno było zaspokoić obawę pana Manette, nie mniéj przeto myśl o przyszłym losie córki sprawiła silne wrażenie na umyśle doktora. Po odejściu Karola Darnay, kiedy Łucja powróciła do domu, usłyszała niezwykły hałas w pokoju doktora, a chcąc się niezwłocznie przekonać jaka jest tego przyczyna, wchodzi tam i z wielkim podziwem i przerażeniem spostrzega ojca siedzącego nad robotą trzewików. Nikt z obecnych w domu nie słyszał ich rozmowy, ale należy przypuszczać, że widok ukochanéj córki musiał wywrzeć wpływ zbawienny na panu Manette, bo już w dniu następnym był zupełnie przytomny i spokojny, i nawet cień smutku nie postał na jego czole.

W przeciągu tego jednego roku zaszła zmiana także w stosunkach domu pana Manette, z innemi osobami powieści, mianowicie ze znanym nam adwokatem Stryverem, który do dowodów zwyczajnéj grzeczności ze strony doktora i jego córki, tak wielką przywiązywał wagę, że nie wahał się oświadczyć o rękę panny Manette, za pośrednictwem pana Lorry. Adwokat ten, tak był pewny pożądanego rezultatu swoich życzeń, że odebrawszy odmówną odpowiedź, z początku uniósł się wielkim gniewem, wyrzucał im zarozumiałość i hardość, poczem dodał z goryczą i szyderstwem, że zważywszy wszystkie okoliczności, widzi dla siebie niekorzyść w tym związku, i że oni sami tylko, to jest pan Manette i jego córka, będą żałować może zapóźno swojego nierozważnego kroku, gdy tymczasem on ma już w myśli inną, a ze wszech miar świetniejszą dla siebie partję.

Kiedy więc wspomniane wydarzenia zaszły w domu doktora i kiedy nareszcie pan Stryver adwokat wyjechał z Londynu w zamiarze zawarcia projektowanych związków małżeńskich, które mu miały według jego wyrachowań prawnych, wielkie przynieść korzyści, dependent jego i towarzysz Karton, zmierzał ku domowi pana Manette. Sydney Karton, jakkolwiek był czasami wesoły i jowialny przy butelce wina w towarzystwie Stryvera, ale w domu doktora był zawsze smutny i ponury, a chociaż mó-

wił dużo i rozsądnie, w całéj jego postawie malowało się zniechęcenie i obojętność na wszystko co go otaczało. Pomimo jednak zimnéj i niedbałéj powierzchowności Kartona, nie można powiedzieć, ażeby ta część miasta, w któréj stał dom doktora, była zupełnie obojętną dla niego, bo często i bardzo często widzieć go można było, jak błądził w nocy i nad rankiem, pod murami domów w pobliżu ulicy Soho. Od pewnego czasu, częściéj jeszcze niż dawniéj, odwiedzał Sydney te strony, a rzadziéj przesiadywał przy butelce wina, może dla tego, że nastał piękny czas letni, w którym powietrze wonne tysiącem kwiatów wpływa zbawiennie na najsłabszych a nawet najgorszych ludzi, czy téż może nie znajdował dziś pociechy w odurzającym napoju, bądź co bądź go przyciągało tutaj, ale niepodlega wątpliwości, że jakiś urok nowy, nieznany może dotąd, musiał mieć dla niego tu miejsce. Otóż pewnego dnia letniego, na początku miesiąca Sierpnia, szedł Sydney ulicą ku Soho, lecz tym razem nie błądził pod domami, ale wszedł wprost do mieszkania doktora.

Panna Manette siedziała sama w pokoju, kiedy drzwi się roztworzyły i wszedł Sydney Karton. Rzecz dziwna, że córka doktora, ile razy znajdowała się z Kartonem sam na sam, była zawsze niespokojna i pomieszana i teraz tego samego doznała uczucia, gdy on usiadł około stołu. Ale spojrzajwszy się na gościa, Łucja zauważała tak wielką zmianę w jego twarzy, że nie mogła ukryć swego podziwienia i zawołała:

— Panie Kartonie, czy nie jesteś słaby?

— Nie, panno Manette, jestem zdrów o tyle o ile być może zdrowym człowiek, który takie jak ja ohydne i nędzne pędzi życie.

— Jeżeli tak jest, wybacz pan, że ci się zapytam szczerze, czemu nie chcesz zmienić postępowania twego?

— Bóg świadkiem, że go się wstydzę.

— Wszak to od ciebie samego zależy, czemuż lepszéj nie obierzesz pan drogi?

Spojrzała się Łucja na Sydneya i zauważała z podziwieniem, że miał łez pełne oczy. On drżącym i przerywanym odpowiedział jéj głosem:

— Już jest zapóźno, miła pani i lepszym nigdy nie będę, przeciwnie, upadam coraz niżéj i niżéj.

Karton oparł się łokciem na stole i zakrył twarz rękami. Nigdy w obecności Łucji Sydney nie był tak wzruszony, więc spojrzawszy się na niego, przelękła się i zadrżała, on domyślił się tego, chociaż nie patrzał się wcale i rzekł:

— Wybacz mi panno Manette, ale mam jeszcze więcéj do powiedzenia, czy raczysz mię posłuchać?

— I owszem, bardzo się cieszę, jeżeli rozmowa nasza może przynieść panu co dobrego.

— Dzięki ci pani, za twoje współczucie.

Odsłonił znów twarz swoję i tak mówił daléj.

— Nie lękaj się i wysłuchaj mię cierpliwie. Ja umarłem już za życia, a umarłem tak młodo.

— Nie panie Kartonie, nie rozpaczaj, jestem pewną, że umiesz poprawić się jeszcze, bo masz przyszłość przed sobą i jesteś godny lepszego losu.

— Powiedz, że mogę stać się godniejszym ciebie, a niezapomnę nigdy tych wyrazów, chociaż niestety! ja sam podobno najlepiéj znam siebie.

Łucja była drżąca i blada.

— Jeżelibyś mogła panno Manette, wywzajemnić się miłością człowiekowi, którego widzisz przed sobą, ten nędzny i słaby niewolnik własnych namiętności, zużyty i upadły na duchu, doświadczyłby przecież wyrzutów sumienia na tę myśl tylko, że cię może uczynić biedną i nieszczęśliwą. A skoro wiem dobrze, że nie możesz odpowiedzieć memu uczuciu, nie tylko, że nie wymagam żadnéj wzajemności od ciebie, ale nawet cieszę się z tego, że nasz stosunek takim na zawsze pozostać musi.

(D. c. n.)

Dnia 15go Września zmarł w Wilnie Ludwik Kondratowicz, znany jako Władysław Syrokomla całemu narodowi, którego umysł karmił rzewną i podniosłą poezją. Snując z głębi zbolałéj często piersi, słowiczą pieśń swoję, padł, gdy nareście w smętnéj lirze jego życia, ostatnia struna pękła. Pozostały po nim sieroty, lecz mógł zamknąć oczy w zupełnym o nie spokoju, zostawił bowiem cały naród ich opiekunem, naród z zapałem miłujący śpiewaków swych, co mu ideał wielkości i piękna stawiają przed oczyma. Więc też we wszystkich stronach kraju przemyśliwają, jakby się z téj opieki wywiązać. Tu zamierzają kupić kawał ziemi, tam zbierają skwapliwie do nowego wydawnictwa wszystkie utwory zmarłego, jedyną spuściznę sierocą. W Wilnie zawiązał się komitet opiekuńczy, staraniem hr. Eustachego Tyszkiewicza (prezesa komissji archeologicznéj), pod którego adresem, mogą być nadsyłane wszystkie ofiary na rzecz rodziny poety, co pośpieszamy powtórzyć czytelnikom naszym.

O UBIORACH.

Do magazynu pana Schlenkera nadeszły piękne wyroby z czystéj lub też mieszanéj na w pół z jedwabiem wełny, naśladują one do złudzenia jedwabne materje tego rodzaju, używane na suknie lub salopy, a kosztują po kilka lub kilkanaście zł. łokieć, stosownie do szerokości i gatunku. Nadeszły tam również piękne ciężkie jedwabne materje, jako to *Gros d'Alger*, szerokości łokieć i 9 cali na zł. 25, tenże sam wyrób lżejszego gatunku na zł. 23. *Mazarine* i *Vénitienne* na zł. 17, węższe zaś na zł. 11. Wogóle wszystkie podobne ciężkie materje, zdają się więcéj na wierzchy do futrzanych salop, aniżeli na suknie przeznaczone, dla swéj grubości i mocy. Z innych nowości pokazywano nam czarne kaszmirowe burnusy, podszyte czarnym *poult de soie*, do zarzucenia w chłodne dnie w pokoju. Były one w różnych fasonach i rozmaicie przyozdobione w haft czarny jedwabny, pasmanterje i koronkę, cena ich od trzydziestu do trzydziestu kilku rubli. Oglądaliśmy także piękne gobeliny na portiery i kapy do przykrycia łóżek. Portiery są na rozmaite ceny, od kilkunastu do kilkudziesięciu rubli. Widzieliśmy bardzo piękne gobeliny na kapy po zł. 20 łokieć razem z oszyciem i kwastami, jedna kapa wypadała po zł. 90. Pani Włodkowska sprowadziła znaczny zapas płaszczyków, paltotów długich, kaftaników do pokoju, oraz innych okrywek jesiennych. Paltoty długie z tak zwanego *draps de velours*, wcinane do figury lub zupełnie proste, kosztują od dwudziestu do trzydziestu pięciu rubli. Płaszczyki są mniéj więcéj w téjże saméj cenie. Krótkie kaftaniki pokojowe z ciepłego wyrobu zwanego *draps des dames*, wcięte dla młodych osób, proste zaś dla starszych, kosztują od 7 do 12 rubli, stosownie do mniéj lub więcéj bogatego wyszycia pasmanterją. Paltociki krótkie stosowne zarówno do pokoju, jak do wyjścia na ulicę, kosztują od 12 do 20 rubli. Paltoty niewychodzą dotąd z użycia, kształty ich tylko zmieniają się w rozmaity sposób. Widzieliśmy np. u pani Włodkowskiéj trzy okrycia tego rodzaju z których każde zupełnie odmienne było. Pierwsze fasonu zwanego *paysanne* było w rodzaju prostego krótszego nieco paletota, rękaw dość szeroki u góry a wązki u ręki, przód i bryt tylny, ozdobione były pojedynczym rzędem, stalowych węgierskich guzików. Drugi kaftan tegoż fasonu, wcięty był w stanie i obłożony dokoła prawdziwym czarnym barankiem, rękaw wązki naszyty był również jak cała okrywka w szmuklerskie ozdoby. Trzeci z wązkiemi rękawami, na biodrach fałdowany był i przystrojony kwastami, z przodu gładki i szamerowany, kołnierzyk miał maleńki stojący i obłożenie z czarnego baranka. Wszystkie podobnego rodzaju okrycia jako więcéj ozdobne i wypracowane, przenoszą w cenie zwyczajne i kosztują od trzydziestu do czterdziestu rubli. W kształcie kapeluszy żadna ważna zmiana nie zaszła, zawsze są one wązkie przy twarzy a wzniesione i suto ubrane po nad czołem, karczki mają tylko odmienne, bo niefałdowane lecz gładkie wykrojone kolisto jak kołnierzyk. W przyszłym poszycie Kółka damy formę podobnego karczka, damy również wtedy formę rękawa do salopy futrzanéj. Rękaw ten jest szeroki i spięty wązko u ręki, chroni w ten sposób bardzo dobrze od zimna. Jeden z najozdobniejszych, ale też i najkosztowniejszych kapeluszy jedwabnych jakie widzieliśmy, był z aksamitu czarnego, z białego zaś niestrzyżonego (velours épinglé) miał karczek i z boku rodzaj opaski, idącéj od karczka a kończącéj się na wierzchu ronda; tę opaskę pokrywał również długi liść z czarnéj koronki *Chantilly*, takież liście krótsze spadały na karczek. Ponieważ wieczory już bardzo chłodne,

podajemy czytelniczkom naszym sposób robienia na drutach włóczkowego kaptura, który zarzucony czy to na utrefione ozdobnie włosy, czy na strojny czepeczek, nie zgniecie ubrania głowy.

Na kaptur potrzeba włóczki białéj kordonkowéj łutów 9, czarnéj łutów pięć i dwa drewniane długie druty, wyrównywające grubości ołówka, funt włóczki kordonkowéj kosztuje zł. 24. Nabierz włóczki białéj oczek 14 przerób (w téj robocie nie ma lewéj ani prawéj strony) przybierz na początku i na końcu po 4 oczka, przerób — przybierz po 2 oczka, przerób — przybierz 8, teraz zrób dwa rzędy, czyli drutów 4 i przybierz po obu stronach po 3 oczka, zrób rzędów dwa, przybierz tak samo i tym porządkiem przybieraj aż będziesz miała oczek 160. Na drucie zrób białych rzędów 41 czyli drutów 82, teraz weź włóczkę czarną zrób rzędów 18 czyli drutów 36 i znów weź białą i gub tym samym porządkiem co przybierałaś, zakończ, złóż we dwoje i to będzie główka do kapturka. Teraz karczek nabierz białą włóczką oczek 100, przerób — za trzecim drutem przybierz jedno oczko przerób 47, przybierz jedno oczko, przerób 3 oczka — przybierz jedno na końcu druta oczko — przerób gładko i znów przybierz tym samym porządkiem jak wyżéj powiedziano i tak przybierając zrób białą włóczką rzędów 18 czyli drutów 36, weź teraz włóczkę czarną zrób zawsze co drugi drut przybierając rzędów 9 czyli drutów 18 i jeszcze czarną włóczką, ale już gubiąc, tym samym porządkiem zrób rzędów 9, a teraz weź białę włóczkę i jeszcze gubiąc tym porządkiem co przybierałaś zrób rzędów 18, zakończ, złóż we dwoje i spój. Teraz przyfałduj główkę, przyszyj do karczka i przewlecz przy szwie przez główkę sznureczek czarny, którym zwiążesz kapturek pod szyją. Możesz ranwers przy twarzy wyłożyć.

Zakończając rzecz o ubiorach donosimy prenumeratorkom które mają w domu młodocianych czytelników i czytelniczki, że zakład litograficzny pana Dzwonkowskiego. wydaje na kolendę Świąt Bożego Narodzenia, książkę zbiorową ozdobioną rycinami, pod tytułem *Gwiazdka*, która kosztować będzie tylko pół rubla, a wzięty na nią bilet prenumeracyjny wygrać może prócz tego, jakiś przedmiot większéj lub mniejszéj wartości, jako to rycinę, książkę lub kompozycję muzyczną, albo nawet jedno wielkie premium złożone z podobnych przedmiotów, a oszacowane na wartość rubli stu. W przecięciu dwunasty prenumerator ma zawsze coś wygrać z pewnością. Sądzimy więc że tak z tego względu, równie jak w nadziei szczęśliwéj wygranéj wielkiego premium, wiele osób zechce się mieścić na liście prenumeratorów. Listy z tém żądaniem adresowane być winny wraz z pieniędzmi, do księgarni pana Dzwonkowskiego w Warszawie przy ulicy Miodowéj.

Objaśnienie tablicy rysunków.

Nr. 1. Połowa przodu kanzucika (canezou).
Nr. 2. Połowa pleców.
Nr. 3. Szarfa z jednéj strony.
Nr. 4. Epoletka do rękawka.
Nr. 5. Rękawek.
Nr. 6. Druga epoletka.
Nr. 7. Kołnierzyk.
Nr. 8. Figura całego kanzucika. Kanzucik ten robi się z czarnego lub białego tiulu, szarfy idące od ramienia składają się na krzyż, z tyłu równie jak z przodu — oszyte są falbanką z koroneczki i wodą, lub wszywką podwleczoną czarną, czy białą wstążką. Kołnierzyk, przód kanzucika i epolety obejmują się u brzegu wstążką. Epolety te są właściwie krótkiemi rękawami, na dwie części rozciętemi, przyszyte do krótszych których forma N. 5. oznaczona, przyczepiają się zwykle do rękawów sukni, kanzucik zaś kładzie się na wierzch.
Nr. 9 i 10. Falbanki.
Nr. 11. Wstaweczka.
Nr. 12. Deseń na tasiemkowe wyszycie.
Nr. 13. Cyfra.
Nr. 14. Cyfrę z tarczą.
Nr. 15. Pojedynczy liść naturalnéj wielkości, do zasłony na lampę (abat-jour).
Nr. 16. Figura całéj zasłony na lampę. Zasłona ta robi się w następujący sposób: na wyrysowany deseń na papierze, składający się z ośmiu dużych liści ułożonych w sposób jak wskazuje Nr. 15, przyłożyć potrzeba kawał zielonéj krepy, podłożonéj białym tiulem, gdy się deseń obwiedzie, potrzeba go obdziergać zielonym jedwabiem, oznaczyć żyłki srebrną nitką, a wreście wyciąć dokoła miejsca obdziergane tak, aby zostały same liście zczepione z sobą, do włożenia na szkło lampy, przez okrągły otwór w pośrodku.
Nr. 17. Kołnierzyk w medaljony, haft atłaskowy na tiulu.
Nr. 18 i 19. Kołnierzyk i mankiety na batyście atłaskiem.
Nr. 20—21. Czepeczek dziecinny.
Nr. 22. Wyszycie do sukni szerszą i węższą plecioneczką wełnianą.
Nr. 23. Róg do poszewki.
Nr. 24—25—26—27—28—29. Cyfry do poszewek.
Nr. 30. Cyfry do chustek od nosa.
Nr. 31. Alfabet mniejszy.



Moine Imp. r. S.t Louis en l'Ile, 90, Paris

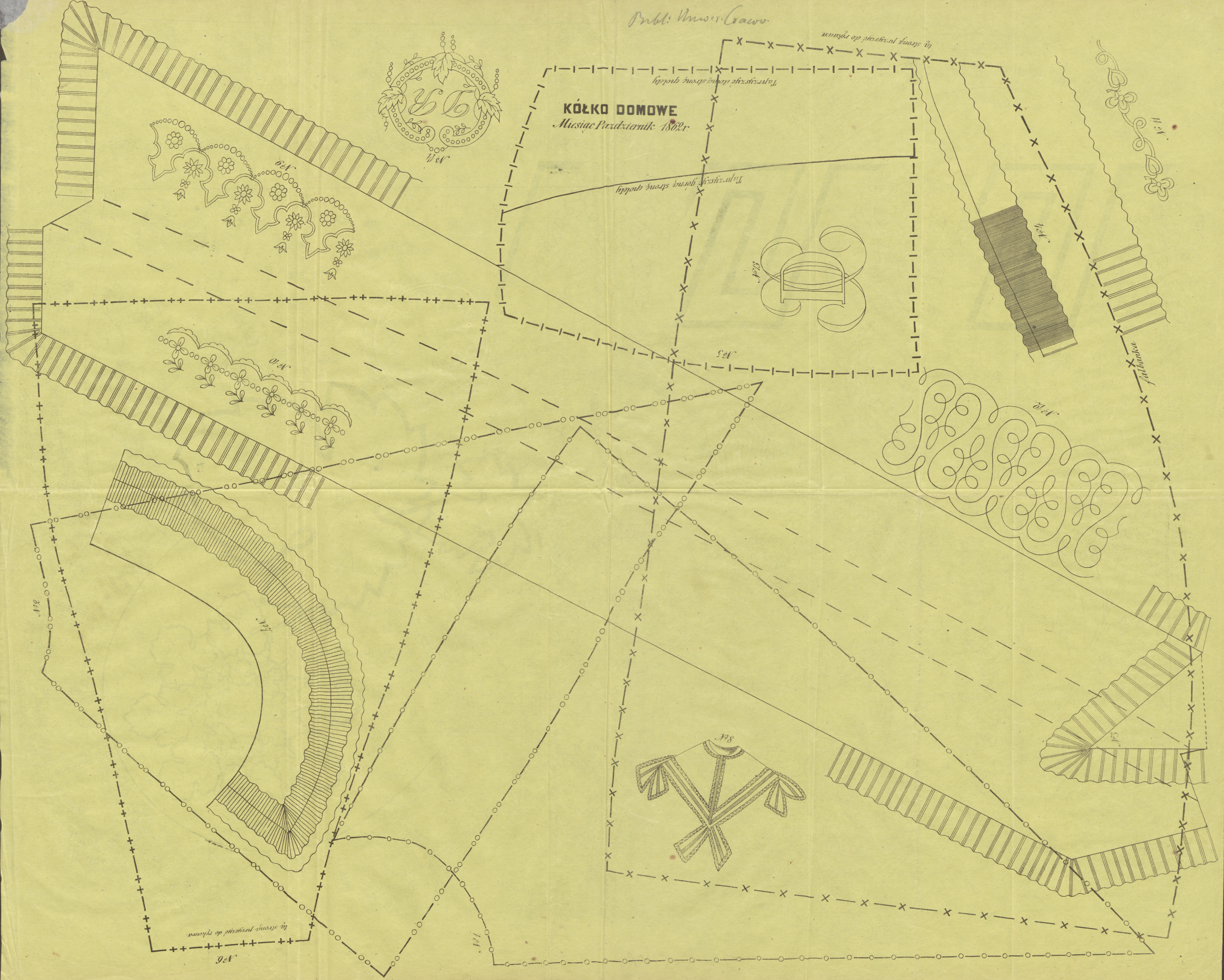
1020

KÓŁKO DOMOWE

Październik 1862

KÓŁKO DOMOWE

Miesiąc Październik 1862 r.




№ 17
№ 29
№ 28
№ 21
№ 22
№ 30
№ 19
№ 20
№ 18